

21-dniowe wyzwanie

Piszę codziennie!

Wybór tekstów

2016

Autor zdjęcia na okładce:: Joanna Kijak-Rajca
Organizatorka wyzwania:: Krystyna Bezubik

© 21-dniowe wyzwanie, 2016

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

SPIS TREŚCI

Piszę codziennie!	5
Ewa Dudziec	7
Dzień 5	7
Dzień 12	9
Dzień 14	9
Dzień 15	11
Dzień 18	12
Monika Dyrlica=Monika Krauze	14
Dzień 1	14
Dzień 7	16
Dzień 12	17
Rozgrzewka 0.2	17
ROZGRZEWKA 0.3	19
Anna Partyka-Judge	20
Dzień 7	20
Dzień 9	21
Dzień 13	22
Dzień 15	24
Dzień 28	25
Wioletta Klinicka	27
Dzień 13	27
Dzień 14	28
Dzień 16	30
Dzień 2	33
Dzień 7	34
Mariusz Kochański	36
Dzień 2	36
Dzień 5	37
Dzień 6	39
Dzień 8	40
Dzień 10	41

Anna Kosacka	43
Dzień 1	43
Dzień 2	45
Dzień 9	46
Dzień 10	47
Dzień 22	48
Karolina Łucja Kozioł	53
Dzień 7	53
Dzień 12	54
Dzień 20	54
Agnieszka Krawczyk	58
Dzień 2	58
Dzień 6	60
Dzień 15	61
Bezpłatne poradniki Pisarskie	64
blog o pisaniu	64
Licencja	66

PISZĘ CODZIENNIE!

„21 dni. 21 ćwiczeń” — tak zapowiadałam 21-dniowe wyzwanie „Piszę codziennie”. Wyzwanie, które oficjalnie zakończyło się kilka dni temu. Tak naprawdę zaproponowałam uczestnikom 22 ćwiczenia. A dni? Nieskończoną liczbę, bo wyzwanie „Piszę codziennie” dotyczy każdego dnia.

Siedzę teraz przed komputerem i próbuję zebrać wrażenia, aby stworzyć z nich artykuł. Niby wiem, o czym napisać, bo przecież mam przed sobą konkrety: 102 zapisane osoby. 80 członków w grupie na Facebooku. Niezliczona liczba postów — tekstów, które powstały. Niezliczone dyskusje. Otwieralność wiadomości e-mail, którą podglądałam w statystykach systemu Freshmail. Ale nie o to chodzi.

Tylko o co? Może o ćwiczenia, które zaproponowałam? Może o to, że uczestniczki i uczestnicy podjęli wyzwanie podjęcia dialogu ze swoją twórczą stroną osobowości i stworzyli artykuł o dzieleniu włosa na czworo, wiersz w stylu Tuwima i scenę erotyczną (już nie w stylu Tuwima)?

Każdego dnia jedno ćwiczenie. Jedno zadanie dla wszystkich. Każdego dnia tak zróżnicowane teksty. Tak inne. Ale nadal mam wrażenie, że nie to jest najważniejsze.

Zatem co?

Energia, która krążyła wokół wyzwania. Wzajemnie wspieranie się. Gdy tylko pojawiał się wątek typu „czuję się grafomanką” — pojawiały się liczne komentarze wspierające. Szczere. Pełne zrozumienia. Gdy ktoś przeproszał, że odpada, bo remont, bo Mundial — pełne zrozumienie.

Z czasem zaczęły pojawiać się głosy, że pisanie rzeczywiście stało się nawykiem. Że wreszcie ktoś poczuł, że naprawdę wystarczy zacząć pisać. Że ktoś inny zobaczył, jak wiele robi pozostawienie redakcji tekstu na końcowy etap pracy. To też nie wszystko.

Jest jeszcze coś. Co? Książka powyzwaniowa. E-book, który właśnie czytasz, zawierający wybór tekstów, które powstały w ramach wyzwania.

Ze 102 osób tylko kilka zdecydowało się przekazać swoje utwory do tej publikacji. Powodów zapewne jest wiele, jednak moim zdaniem to również pokazuje, jak długa jest droga od napisania do opublikowania i jak może wyglądać dojrzewanie autora do pokazania swoich tekstów czytelnikom.

Szanuję tych, którzy się na to jeszcze nie zdecydowali, i tym bardziej gratuluję tym, którzy zechcieli podzielić się swoimi utworami.

Krystyna Bezubik

EWA DUDZIEC

„Umysł ścisły” z artystyczną duszą. Przygodę z twórczością rozpoczęła w liceum, gdy bawiła się poezją, jednak dopiero kilka lat temu zajęła się pisaniem zawodowo jako copywriter. Aktualnie pracuje nad wydaniem debiutanckiej powieści oraz doskonali swój warsztat w trakcie kursów „Piszę, bo chcę” oraz spotkań „Kawiarni Literackiej”.

DZIEŃ 5

Dym

Układała w głowie przebieg dalszych wydarzeń, gdy nagle zapiekły ją oczy, a do nosa doleciał gryzący smród. Spojrzała gniewnie na współpasażerów, którzy nie zamknęli drzwi przedziału.

„Przeciągów im się zachciało” — pomyślała z wyrzutem.

Chociaż dziś nie była Anią, tylko sobą, tak samo jak ona nie znosiła zakłócania ustalonego porządku. Woń papierosów szczególnie wzmacniała chęć mordy. Wachlując się gazetą, przeganiała snującą się wstążkę dymu. Resztkami rozsądku próbowała powstrzymać nadchodzące niebezpieczeństwo, ale było już za późno..

Jason zapukał we wnętrzu czaszki...

„O nie...” — zdążyła tylko westchnąć, zanim całkowicie przejął kontrolę.

Powolnym ruchem odłożył czasopismo na składany stolik pod oknem i wstał. Dyskretnie sprawdził, czy Ewa nie schowała

noża w plecaku. Uśmiechnął się złowieszczo, bo narzędzie wciąż było przypięte do paska. Obciągnął podkoszulkę, sprawnymi ruchami przeskoczył nad nogami pasażerów i wydostał się na korytarz. Gdy znalazł się w progu przedziału, lekko się cofnął, aby przepuścić mężczyznę po pięćdziesiątce, który siedł wzdłuż wagonu.

„Ty dziadu!” — pomyślał, gdy uderzył go smród fajek zmieszany z przetrawionym piwem. Na kilka sekund wstrzymał oddech.

— Ma pan może odsprzedać jedno piwko? — powiedział. Jason i mrugnął zalotnie okiem Ewy, gdy przechodził obok palacza. Facet kiwnął głową. — Poczekam przy WC. — Jason wskazał koniec korytarza i ruszył w tamtym kierunku.

Stał w otwartej toalecie, oparty o zlew znajdujący się tuż przy wejściu. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, błyskawicznie złapał go za rękę z puszką i wciągnął do środka. Zanim tamten zorientował się w sytuacji, Jason zablokował drzwi.

Błysnęło ostrze pokaźnego wojskowego noża.

Jednym cięciem rozplątał gardło palacza i dłonią owiniętą w papierowe ręczniki powstrzymał rozprysk krwi. Wiedział, że Ewa byłaby bardzo niepokieszona, gdyby zabrudził jej ciuchy, a w szczególności buty.

Pozwolił facetowi osunąć się na podłogę. Tym razem również nie rozumiał zdziwionego spojrzenia ofiary, kiedy wydawała ostatnie tchnienie.

„Czy naprawdę tak trudno odczytać znaczek z przekreślonym papierosem?” — zastanawiał się Jason, gdy rozcinał puszkę i wylewał piwo do zlewu.

Oстрыm kantem zniszczonego opakowania pogłębił ranę na szyi. Włożył puszkę do ręki śmierdzącego trupa i spuścił w ubikacji zakrwawiony papier.

Wyszedł na korytarz i spokojnie wrócił do przedziału.

Ewa, mijając współpasażerów, nie mogła sobie przypomnieć, po co i gdzie wychodziła. Cieszyła się tylko, że w tym czasie przyciąg wywiązał dym i znów mogła normalnie oddychać oraz przesta-

ły łzawić jej oczy.

5.VI.2016

DZIEŃ 12

Zwłoki?

Ciało
Zwleczone
Zrzucone

Codziennie zmartwychwstanie
Gdy słońce
Najwyżej nad horyzontem
Wystarczy przetrzeć oczy
Doczołgać się
Półtora metra
I wejść
Do „Matrixa”

12.VI.2016

(opis porannych rytuałów bez mówienia wprost)

DZIEŃ 14

Przebudzenie

Otulony czarną peleryną, cicho podpłynął do kobiety siedzącej samotnie na ławce w parku.

— Jesteś moją muzą — wyszeptał zachrypniętym głosem.

Oliwia nawet się nie odwróciła. Uwielbiała tę porę nocy, gdy miasto już spało i po ulicach chodzili tylko porzuceni.

— Jesteś moją muzą — powtórzył tuż nad jej uchem.

Wyczuła jego lekką irytację, więc zareagowała.

— Nie poznajesz swoich? — powiedziała, nie patrząc na przyszła. Mężczyzna milczał, zaskoczony. Odczytała tysiące galopujących myśli w jego głowie. — Oho... długo byłeś w zamknięciu. Stanowczo za długo, skoro przytępiły ci się podstawowe zmy-

sły. — Odwróciła się w jego stronę.

Dopiero teraz się jej przyjrzał. Uśmiechnęła się do niego, ukazując lekko wysunięte kły. Rzeczywiście za długo go nie było.

— Który rok mamy? — zapytał niepewnie, porównując swoje ubranie i jej, które było w zupełnie odmiennej stylistyce.

— 2016, Gwidonie. — Wysunęła rękę, muskając żabot białej koszuli. — To już dawno wyszło z mody. Jakies dwieście lat temu.

— O nie...

— Nie rozklejaj się. Dasz sobie radę, jak zawsze, ale... musisz się dostosować.

— Pomogłabyś mi?

— Ktoś musi. — Wywróciła oczami z niechęcią. — No i rzeczywiście stanę się twoją „muzą”. Na początek... takie teksty już na laski nie działają.

— Laski?

— Tak się teraz mówi na młode dziewczyny. Nie wszystkie, oczywiście. Większość już nie wie, co to prawdziwy romantyzm — wyjaśniła cierpliwie. — No i... musisz odzwyczaić się od wypijania kogokolwiek do końca.

— Jak to?

— Kiedy cię zamknęli?

— W 1760.

— Dawno... Teraz policja, taka straż pilnująca porządku, sprawdza każde pozostawione zwłoki. Mają zaawansowaną technikę i dość szybko potrafią znaleźć winowajcę.

— To jak mam się pożywiać? — Głowa dudniła mu od nadmiaru wiadomości.

— Polujesz, wypijasz, ale nie do końca — podkreśliła — zacierasz ślady i czyścisz pamięć.

— Nie wiem, czy jeszcze potrafię takie rzeczy — westchnął zrezygnowany.

— Będziesz musiał sobie przypomnieć — rzuciła krótko, znów obserwując otoczenie.

— Spodziewałem się, że po odzyskaniu wolności będę musiał sporo się nauczyć, ale nie aż tylu rzeczy na raz. — Gwidon czuł

się przytłoczony.

— Przyzwyczajaj się, teraz ludzie są bombardowani informacjami. — Koło ucha usłyszała ciche jęknięcie. Obrzuciła cynicznym spojrzeniem strój Gwidona. — Chodź, niedaleko jest klub z imprezami fantasy. — Uśmiechnęła się złowieszczo. — Zapolejemy.

14.VI.2016

DZIEŃ 15

— „Całujcie mnie wszyscy w dupę...”¹ — zanuciła pod nosem. „Na przyjemności trzeba sobie zasłużyć! — pomyślała. Miała ochotę wyć z wściekłości. — Jeszcze za mną zatęsknicie! Ale wtedy... wypchajcie się sianem, skończyło się. Ciocia Iza już nie będzie taka miła jak kiedyś”. — Wyszła bez słowa, trzaskając drzwiami.

W drodze do domu chciała kogoś skopać. Dokładnie wiedziała kogo... Na szczęście musiała wracać pieszo ponad pół godziny i tylko dzięki temu nie ucierpiał nikt postronny. Wiedziała, że działanie pod wpływem emocji nigdy dotąd nie przyniosło jej niczego dobrego. Za to często podejmowała wtedy dobre decyzje.

Jeszcze przyjdą, prosząc o łaskę, ale będzie za późno. Oj, będzie...

Maszerując do domu, miała czas, aby nieco ochłonąć i przemyśleć sprawę. Postanowiła więcej nie wdawać się w dyskusje, bo to nie miało najmniejszego sensu. Ani ona nie przekona ich, ani oni jej. Koniec. Koniec wszystkiego.

Przypomniała sobie jedną z sentencji znalezionych w Sieci. Uznała ją za genialne zakończenie tematu. Bez podawania szczegółów, bez wymieniania nazwisk, bez picia do konkretnych osób... Ale z ostrzeżeniem i swego rodzaju pożegnaniem. Jeżeli zechcą, to przeczytają i zrozumieją aluzję. Jeżeli nie zechcą,

¹ Julian Tuwim „Całujcie mnie wszyscy w dupę”; piosenka ze spektaklu „Tuwim dla dorosłych”.

to już nie jej broszka.

Włączyła komputer, odszukała mem z cytatem i wkleiła na swój profil. Bez słowa komentarza.

Kiedys traktowałem ludzi dobrze. Teraz — z wzajemnością —
Anthony Hopkins.

15.VI.2016

DZIEŃ 18

Nad grobem

Powinny ci się spodobać różowe. Ładnie pachniały, tak jak zawsze lubiłaś. Z ciemnofioletową wstążką...

Wolałbym dać ci je tak naprawdę... żebyś znów się uśmiechnęła, pocałowała mnie albo rzuciła mi się na szyję. Strasznie mi ciebie brakuje. Łóżko jest takie... za duże dla mnie samego. Co mówisz? Żebym znalazł zastępstwo? Nie, nie mam ochoty. Chyba że masz na myśli naszą kotkę. Ona też tęskni, przychodzi w nocy i kładzie się na twoim miejscu. Gdy ktoś idzie po klatce schodowej, od razu biegnie do drzwi. Ale ja wiem, że to nie ty... Potem przychodzi do mnie, kładzie łebek na kolanach i patrzy pytającym wzrokiem... Jak mam jej wytłumaczyć, że już nigdy nie wrócisz?

Jak mam to sobie wytłumaczyć? Może kiedyś przysniłabyś mi się i powiedziała, co się właściwie stało... Byłbym naprawdę wdzięczny. Ciągłe nie mogę sobie darować, że wcześniej nie zauważyłem, nie zareagowałem ostrzej...

Naprawdę nie wystarczyłem ci jako „muz”? Musiałaś pakać się w tę bohemę pseudoartystyczną? Poeci od siedmiu boleści... grafomani pieprzeni, niegodni twoich stóp całować! Chciałbym wiedzieć, co takiego ci nagadali, że zwątpiłaś. Uwierzyłaś, że nie możesz pisać inaczej, niż tylko wtedy, gdy cierpisz... Gówno prawda! Przeglądałem wczoraj twoje zapiski... Pomogę ci je wydać, lecz ostatnie wiersze wymagają znacznie większej redakcji niż te wcześniejsze... No wiem, powinnaś zatwierdzić, ale ta banda pijaków i ćpunów skutecznie pozbawiła cię tej możliwo-

ści. Musisz zdać się na moją opinię. Nie martw się, pamiętam, jaka byłaś szczęśliwa, i jak wspaniale szło ci pisanie. Prawie bez poprawek. Sprawię, że twój ostatni tomik też taki będzie. Nie zostawię żadnego śladu po tych grafomanach.

Wczoraj znalazłem jakąś kretyńską maskę przy twoim pomniku... Wiedziałem, że to sprawka jednego z nich. Tylko nie wiem, czy chciał cię uczcić, czy raczej wykpić, że dałaś się zmanipulować. Na szczęście masz mnie. Zapłacą za to, co nam zrobili. Poszedłem do tej kawiarni. Śmiali się. Żaden nich nawet o tobie nie wspomniał, zupełnie jakbyś nigdy tam nie chodziła. Zrobiłem im niespodziankę. Gdy kelnerka niosła kolejną porcję drinków, położyłem tę maskę na tacę, a potem zadzwoniłem na policję.

To ja się śmiałem, kiedy ich aresztowano po znalezieniu przy nich pokaźnego zapasu trawy oraz innego cholerstwa. Ale to był śmiech przez łzy — przecież nawet najwyższy wyrok ciebie nie przywróci...

Mówisz, że zrobiłem im darmową reklamę... Nie. Zadbałem o to, aby nigdzie nie pojawiło się więcej niż jedno zadnie i tylko na temat prochów. Ani słowa o pseudoartystach, o których nikt nie będzie pamiętał. W końcu różne znajomości na coś się przydały.

Za to ty byłaś sławna już wcześniej i nadal zrobię wszystko, żeby tak pozostało.

18.VI.2016

MONIKA DYRLICA=MONIKA KRAUZE

Autorka serii książek dla młodzieży „Bazanek”, która zostanie wydana nakładem wydawnictwa Akapit Press wiosną 2017r.

Chodzi z głową w chmurach. Wie, że wszystko jest możliwe. Kocha życie. Widzi szklankę do połowy pełną. Przyrodniczka, autorka dwóch przewodników po ZOO. Współzwyrodniczka ogólnopolskiego konkursu na dokończenie powieści Leopolda Tyrmanda „Wędrówki i myśli porucznika Stukułki” (Wydawnictwo MG) i wielu innych konkursów literackich. Prowadzi firmę Usługi Literackie (uslugiliterackie.com.pl) oraz dwa blogi: Skorpion w rosole (www.skorpionwrosole.blogspot.com¹) oraz Kręgosłup oralny (www.oralny.blogspot.com)². Jej największym marzeniem jest zobaczyć zorzę polarną.

DZIEŃ 1

Ranek nie jest jeszcze utkany z oddechów wracających do życia ludzi. Rano jest dziewicze, trajektorie kroków niesplątane, wolne od zderzeń cząstek ciał i gmatwaniny myśli. Powietrze jest klarowne, bo wolne od dymków wypowiedzi.

Ranek płynie gładko łódeczkami godzin i wpływa w *popoł-*

¹ <http://www.skorpionwrosole.blogspot.com/>

² <http://oralny.blogspot.com/>

dnie, które — gęstsze od ranka — staje się brzemiennie w pęczniący pod sercem wieczór.

Kiedy *wieczór* dojrzeje, rodzi się w ciszy gdzieś wysoko, oblewa świat skondensowaną ciemnością kosmosu i zaskakuje wrodzoną zdolnością przekształcania rzeczywistości. Stopniowo osiadając na wszystkim, rozmywa kształty, powolnie i skutecznie rozpuszcza kreskę konturów, przez którą wylewa się podstawowa zawartość rzeczy i zdarzeń. Ich prawdziwe znaczenia uwalniają się i mieszają z sobą, a łącząc się przypadkowo, nabierają nowych, nieokreślonych jeszcze cech, które trzeba na nowo nazwać. W ciemności, po cichu, ich uwolnione wnętrza spotykają się, dotykają najpierw nieśmiało, później już odważniej, przenikają się w różnych pozach i konfiguracjach, tworząc hybrydy życia. Ewolucja.

Jestem Królową Nocy. Mam nad nią władzę. Wydobywam z jej Enigmy sens złożonych struktur, ekstrahuję esencję jestestw. Trawię gęstość ciała doskonale czarnego. Rozcieńczam, rozplątuje, wysnuwam z niego czarną nitkę i plotąc nią pojedyncze litery, tkam nimi wersy zdań, by wszystko stało się czytelne, gdy noc umrze o poranku. W moim brzuchu następuje inwolucja minionych zdarzeń. Rodzę każdy ranek, krzyżuję na kolejnych kartkach ramiona gwiazd zarannych.

A rankiem już wszystko leży równo ułożone w kostkę brukową, myśli uczesane w koński ogon posłusznie ciągną dorożki. Lusterkom kałuż odbija się po upojnej nocy. Oddycha się na przestrzał, a kryształ powietrza dźwięczy skowronkiem. Życie staje się prostsze, rzadsze i nie zalepia porów skóry. Ranek odradza się lekkością bytu.

Dowodem, że to nie był sen, jesteś Ty, który właśnie nawijasz na własne uzwojenie ten ciąg liter z ogonkami tkwiącymi w kałamarzu czarnej dziury.

DZIEŃ 7

— Kurza twarz, Żorzyk, co to było?! Widziałeś to?! — Kurakao szaleńczo potrząsał głową i czochrał się po rozwichrzonej piersi, skacząc przy tym z emocji z jednego podkładu kolejowego na drugi.

— Nooo. Ojapitolę — Żorzyk flegmatycznie przewrócił oczami. — Ten pociąg dosłownie frunął w powietrzu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. — Podrapał się po głowie. Stał spokojnie w opadającym kurzu.

— Nie dziwota, w środku były same niebieskie ptaki, widziałeś je? Smukłe, błękitne skrzydła unosiły tę kupę żelastwa w powietrzu jak piórko. — Kurakao, wciąż nerwowo podskakując, poczerwieniał na podgardlu. — Normalnie czary! — palnął, oblewając towarzysza lepkiem bursztynowym spojrzeniem.

— Ale że co? — Żorzyk nie nadązał. — Usiłujesz powiedzieć, że to, co przed chwilą rozmazało nam w pędzie krajobraz, to latający pociąg?

— No jasne, że latający! Napędzany niebieskimi migdałami z gardeł tych niebieskich ptaków. Przecież to jasne jak słońce! — piał w zachwycie Kurakao.

Żorzyk wdrożył awaryjny tryb myślenia, który odmalował się na jego ptasiej twarzy wyrazem posępnego zasepienia.

— Kuraś, kurzy mózdzku, to chyba jednak nie bardzo możliwe — odrzekł po chwili. — Wytłumacz mi taką rzecz: dlaczego zatem, kiedy wypadaliśmy z tego towarowego, nie unieśliśmy się w powietrzu z naszą klatką ani na milimetr? He? Trzepaliśmy skrzydłami jak szaleńcy i nic, kurza mordą. Nic! Nie unieśliśmy się ani na moment, nie licząc momentu pędu pociągu. Ani my, ani nasza klatka.

— Ko-ko-ko-KORWA, faktycznie, brachu. On chyba nie mógł lecieć, no ja piórkuję! Omamy mam. — W oczach Kurakao pojawiła się nuta szaleństwa (dwukreślne C), a może to tylko wirus ptasiej grypy. Wlepił jedno przerażone oko w Żorzyka i jęknął: — Myślisz, że rano za bardzo zalałem robaka? Może były pryskane?!

DZIEŃ 12

Słońce wysuwa się asem z rękawa horyzontu
po raz sto sześćdziesiąty siódmy tego roku, tym razem
pogodny.

Nie kantuje.

Promienie pełzną po pierzastych górach
w pachnącą chemicznie łączkę z ekologicznej bawełny
sieją zamęt i ziarno prawdy
genetycznie modyfikowane
mleko

w kubku z głuchym uchem.

Spod górskich łąk zmartwychwstając, oblewam ziemistą cerę
rumieńcem,

by kwitnąć o poranku wzbudzonym cyklicznie życiem.

Orzę stopami włochaty dywan, ciągnę lemiesz rytuałów,

kroję plony

androny

andruty prawd

maślane.

Mam ochotę na gruszkę z wierzby z parmezanem.

Zasadzę.

Przesadzam?

Urośnie arialem do wysokości dwunastu pikseli.

ROZGRZEWKA 0.2

— Panie Zenku, pan oprze ten ogromny landszaft o zachodnią ścianę. Chcę, żeby światło na niego padało, a swym ostatecznym padnięciem dało życie temu widoczkowi z eeee... co to tam jest? Rzeczka? Właściwie co to za ciek wodny, panie Zenku, między tymi sosnami? Te sosny też takie garbate jakieś. I ta sarenka kulawa.

— Zero romantyzmu w tej kobiecie... — westchnął Zenek z głębi gołej klatki piersiowej, poruszającej się miarowo pod kła-

pą spodni ogrodniczek. — To ruczaj, pani Moniko, ruczaj. Pragniesz, by rozedrgane promienie słońca buszowały w tych pejzażach, prawda? — Zenek gładko przeszedł na per ty. — Dobrze... Położę go o tak, delikatnie oprę o ścianę, by promienie słońca lizały jego powierzchnię tak, jak lubisz... — Prawy kącik jego ust uniósł się lekko. — By oblewały swymi miodowymi strużkami ich korę i wsiąkały w miękkie, pachnące runo leśne, uwalniając subtelny, pociągający i pierwotny zapach matki ziemi. Taki, który porusza najskrytsze struny... — Palec Zenka przesunął się powoli po mojej szyi.

— Eeeee. O, tak, no dobra. — Robię krok w tył, odłączając się od prądu biegnącego od męskiego palca przez arterie szyi do mózgu. — Eee, teraz to wyro. Popchnij je z łaski swojej i ułóż wzdłuż malowanki, że niby leży na łonie.

Zenek spojrzał wymownie na pościel w kwiatki i fluktuacyjnie zafalował klapą. Z gracją pумы przesunął łóżko tak, że sprawiało wrażenie, jakby stało w lesie. Udrapował się na nim i wyciągnął przed siebie rękę.

— Chodź.

Stoję.

— No chodź do mnie...

Bezwolnie wyjmuję stopy z miękkich mchów, jak z kapci. Robię krok. Czuję uwolniony ruchem zapach lasu. Dookoła strzelają zielenią krzewinki jagód, wielkie paprocie głaszczą łydki. Obraz rośnie i zawija się dookoła nas tak, że jesteśmy w jego wnętrzu. Nad naszą małą polanką świeci słońce, a ptak rozchlapuje jego promienie jak farbę. Złote krople syczą, spadając nam na gołą skórę.

— Pospiesz się, bo za chwilę się obudzisz i stąd wyjdiesz!

Zza offu dało się słyszeć klikanie systemu zapadek automatycznego zamka. Otwieram oczy. Dźwięk płynie z idealnie zachodzących na siebie górnych i dolnych kluczy wiolinowych rzęs. Klik, klik, klik! Drzwi otwarte.

ROZGRZEWKA 0.3

Zofia Nachojaska cierpiała na zaawansowaną bakteriofobię, co znacznie utrudniało jej życie, także to zawodowe. Już sama myśl o tym, że mogłaby dotknąć czegoś gołą ręką, czegoś — o zgrozo! — nieczystego, wielkiego i włochatego, indukowała w niej tak silny atak lękowy, że najchętniej weszłaby do lodówki i poddała się w niej hibernacji na osiem godzin dniówki. Pomyślała o tych wszystkich zakamarkach, gdzie TO może się kryć — wąsate, wynaturzone wypierdki wydry albo woniejące kupki wągrzastego naskórka, które doprowadzały ją do palpitacji serca. Nie, tak nie można żyć, tak się nie da pracować, a przecież to ministerstwo!

Gabinet ministra to już w ogóle stajnia Augiasza. Dobrze, że minister nikomu nie pozwala wchodzić, nawet jej, bo marnie by się to skończyło dla nich obojga! Minister słynie ze swoich wstrętnych szwindli, w szufladach chowa pliki podrobionych dokumentów, sprowadza do pokoju panie z zaskakującymi wybrykami wenerycznymi, płaci im brudnymi pieniędzmi oraz — czyn haniebny — używa nieodpowiedniej wody toaletowej, która nawet nie udaje, że maskuje zapach jego wstrętnego potu. A wszystko to, atom po atomie, opada na podłogę, zostaje omotane woalką kurzu i uformowane w postać wielkiego kurzowego kota i chowa się pod reprezentacyjnym biurkiem ministra.

Kot zaciera swoje brudne nityłapy, bo wie, że Zofia Nachojaska nigdy tu nie wejdzie, a on będzie spał zwinięty w kulkę, niezagrożony tak dzisiaj, jak i jutro, pojutrze czy każdego następnego, zwykłego dnia. I będzie rósł i obrastał w nowe ingredencje.

I nie byłoby w tej historii nic dziwnego, gdyby nie to, że Zofia Nachojaska jest ministerialną sprzątaczką...

Wokabularzyk:

włochaty, wielki, wągrzasty, woalka kurzu, wypierdek wydry, wąsaty, woniejący, wynaturzony, wybryki weneryczne, wstrętny

ANNA PARTYKA-JUDGE

Szczęśliwa, dojrzała, nadal pełna energii i ciekawości życia. Pisze od zawsze, traktując wydarzenia życiowe jako kanwę poetyckich wypowiedzi. Rozwija skrzydła w beletrystyce, jest bardziej odważna w obcowaniu ze słowem i — jak twierdzi — nie chce już chować się za poetyckim obrazem świata. Zawodowo zajmuje się muzyką.

DZIEŃ 7

— Proszę otworzyć drzwi, wysiadam! — powiedziała zdenerwowana Klaudia i wcisnęła kierowcy dziesięć złotych.

Złapała zgniłozielony plecak i szybkim ruchem wyszła z taksówki. Semafor pokazywał jeszcze czerwone światło. Miała szansę. Nie zwracając uwagi na ludzi oczekujących na przejazd pociągu, przeszła pod opuszczonym szlabanem i pobiegła na stację. W piersiach czuła tylko dudniący rytm. Nie słyszała nawoływania rozlegającego się za jej plecami. W biegu zarzuciła plecak na plecy, ręce zwinnie przełożyła przez paski.

W uszy wciskał się gwizd lokomotywy i rozlewał się w całym wnętrzu jak niechciany i zniechęcony smród alkoholu. „Muszę zdążyć! — pomyślała. — To ostatnia szansa! Andrzej mnie nie dogoni. Nie da rady. Ucieknę! Pojadę na ten egzamin i wszystko się zmieni!”.

Wbiegła na stację. Pociąg już ruszył. W otwartych drzwiach ostatniego wagonu zobaczyła Małgorzatę. Wyciągała do niej rękę. „Dawaj! — krzyczała. — Zdążysz! Złap moją rękę! Wciągnę

cię!”.

Jakiś młody mężczyzna postanowił jej pomóc. Wyciągnął rękę do Klaudii. „Nie bój się! — krzyczał. — Wskakuj!”.

Klaudia przystanęła. Zabrakło jej tchu. Rozpaczliwie machnęła ręką do przyjaciółki, dając znać, że nie da rady. „Spróbuj następnym!” — usłyszała jeszcze, zanim pociąg z hukiem przeto-
czył się po torach, by następnie zniknąć z pola widzenia. Zgięła się wpół, próbując złapać oddech. Nogi miała jak z waty. Jej ciałem wstrząsały konwulsje.

— A jednak! — usłyszała za plecami drapieźnie drwiący głos Andrzeja. — Mam cię! I co teraz? Początek formularza

Początek formularza

Początek formularza

DZIEŃ 9

Po raz kolejny spojrzał na Martę, nie wiedząc, jak tym razem mógłby jej pomóc. To nie to samo, co nakleić plasterk na zdarte i krwawiące kolano.

Wsunęła trzęsącą się dłoń pod jego ramię i ścisnęła lekko. Gdy podniosła szaro-błękitne oczy wypełnione łzami, zobaczył w nich te wszystkie lata, podczas których uczył ją jeździć na rowerze, łowić ryby; podczas których oglądali razem mecz siatkówki, śmiali się i krzyczeli głośno.

Ufała mu. Wiedział o tym. Potrzebowała jego obecności, siły i... wiary.

— Dasz radę? — zapytał. Nie spodziewał się, że głos z takim trudem będzie wydobywał się przez gardło. Skinęła tylko głową.

Ruszyli.

Nie wiedział, dlaczego jego chód był wolny i niepewny, podczas gdy ona, idąc w butach na wysokich obcasach, stawiała małe, ale stanowcze kroki. Dudniły mu w skroniach. Nie mógł zrozumieć, czy to podniesione ciśnienie daje znać o sobie, czy może zimny marmur posadzki staje się membraną dźwięków.

Zawahała się. Poczuł, że fala gorąca zalewa jego ciało.

— Martuś...? — zawiesił głos, gotów w sekundę zmienić plan.

— Nic, nic — odpowiedziała. — W porządku.

Doszli.

Doprowadził ją. Mimo elektrowstrząsów w każdej części ciała i mroczków przed oczami, które zniekształcały wizję. Są tu oboje.

— Tatku, dobrze się czujesz?

Rany boskie! Przecież to on ją odprowadzał! To jego ramienia i jego siły potrzebowała.

— Pamiętaj, dopóki jestem...

— Wiem, tatku...

— Zgromadziliśmy się tu dziś w obliczu Boga, aby połączyć tę oto kobietę i tego oto mężczyznę świętym węzłem małżeńskim. Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie?

Kolana ugięły się pod nim. Kropelki potu pojawiły się na jego skroniach.

— Ja oddaję — zdołał wyszeptać.

DZIEŃ 13

„Trzynastego nawet w grudniu jest wiosna... Trzynastego wszystko zdarzyć się może... Trzynastego wiosna twoje ma imię...” — podśpiewywała za Kasią Sobczyk. Dodała tej piosence nieco więcej energii, zmieniając rytm, bo nie dało się nucić oryginalnej wersji i jednocześnie iść szybkim krokiem.

Musiała intensywnie przebierać nogami — kałuże stawały się coraz większe, a kupione wczoraj przez Internet czerwone pantofelki z fikuśnym obcasem nie mogły się przecież przemieścić. Choć parasol nie okrywał jej stalowoczerwonej sukienki, nie chciała śladów kropel na jedwabiu. „Ta paskudna ulewa nie odbierze mi radości! — pomyślała. — Nie dam się! Muszę dotrzeć na miejsce nienaruszona na zewnątrz i wewnątrz!”.

— Trzynastego... piękniejszy jest świat! — zanuciła.

Koła przejeżdżającego auta wpadły w niewidoczne zagłębienie przy krawężniku i brudna woda z kałuży znalazła się na nie-nagannie wyprasowanej sukience Malwiny.

— Naprawdę? Tak pani uważa?! Ha, ha, ha, ha! — usłyszała tubalny śmiech nad płaszczyzną swego parasola.

— Jak pan śmie! Oczywiście, że świat jest piękny! Tylko, do cholery, gdzie są ci wspaniali mężczyźni?! Jeden ochlapał mnie deszczową breją, a drugi się ze mnie naśmiewa! A niech to szlag! — Wściekłość była nadzwyczaj wyraźna w głosie desperacko otrzepującej się Malwiny.

— Przepraszam, chciałem ochronić panią swoim parasolem. Niestety, nie zdążyłem...

— Trzeba było wykazać się refleksem! — warknęła Malwina.

Jej doskonały nastrój zniknął równie szybko, jak szybko zniknęło auto napastnika. „Muszę wyglądać jak nieszczęście! — pomyślała. — Jak ja się teraz pokażę na spotkaniu?” — zastanawiała się gorączkowo. Nie wiedziała, co robić.

— Wygląda pani... hmm... prześlicznie!

Nieznajomy nadal się śmiał. Zobaczyła mokre nogawki jego dżinsowych spodni i nagle... Wow! Co za buty! Szkoda, że kałuże namalowały na nich dodatkową ciemniejszą linię. Zadarła wysoko głowę. Chciała zajrzeć temu drwiącemu jegomościowi w twarz i powiedzieć, co o nim myśli.

— Ooooo! — Nie ukrywał zachwyty nieznajomy. — Ma pani nie tylko zgrabne nóżki. Równie pięknie się pani złości.

Kpiąco-sarkastyczny uśmieszek pozostał na jego twarzy.

— Dość tego! Proszę zostawić mnie w spokoju! Nadęty z pana dupek! Jak można tak jadowicie się zachowywać?

— OK, OK, no już, przepraszam — powiedział. — Przepraszam! — powtórzył, kiedy zobaczył szybującą w powietrzu torebkę, którą Malwina zamierzała zmasakrować mu ramię. Odskoczył, jeszcze głośniej zanosząc się śmiechem.

Nie trafiła. Szeroki zamach zmusił ją do wygięcia ciała. Szpilka nowego bucika utknęła w dziurze w płycie chodnikowej. Szarpnęła. Nic z tego. Szarpnęła ponownie. Zachwiała się i na

oczach tego szczerzącego się ciołka przewróciła się i wpadła prosto w kałużę!

— Ożeż kurrwa! Trzynastego!

— No, no! — rzucił. — Ależ temperamencik się ma! Trzymaj! — dodał, podając Malwinie rękę. Złapała ją niczym koło ratunkowe.

Mężczyzna lekko podrzucił dziewczynę i ułożył ją na swoim ramieniu niczym worek ziemniaków.

— Mam na imię Piotr. Mimo deszczu trzynastka jest chyba dla mnie szczęśliwa, moja miła zgryźliwa panienko. Gdzie mam cię wysadzić?

Z nieprzychylną radością w głosie podniósł jej parasolkę i ruszył przed siebie, podtrzymując bagaż jej ciała owinięty już teraz w szaro-burą sukienkę.

DZIEŃ 15

— Jest pani niegrzeczna, a na dodatek niekompetentna — wycedził niemiecki dryblas, posapując. — Żądam spotkania z kierownikiem hotelu! — krzyknął i uderzył grubymi paluchami o blat recepcji, aż zatrzęsł mu się zwisający z ramienia tłuszcz. Wytrzeszczył oczy. Usta, śmierdzące ledwo przetrawionym wczorajszym alkoholem, nie mieściły nadmiaru tłoczonego adrenaliny powietrza, a jego twarz wyglądała jak bańka nabrzmiałego termometru. Kaśka spokojnie czekała, aż wybuchnie, robiąc głośne „Pooop!”.

— Przykro mi, ale to ja jestem kierownikiem. Cokolwiek ma pan do powiedzenia, proszę to wyartykułować tu i teraz — powiedziała.

Nie podejrzewała siebie o taki spokój. Wewnątrz niej bulgot wściekłości doszedł niemal do uszu i przybrał koloru sukienki. Czerwona Layered A-line od Caroliny Herrery podkreślała jej wspaniałą talię.

— Ty?! — warczał. — Ty beznadziejna gówniario! Dawaj mi tu kogoś starszego i odpowiedzialnego!

Jego wargi falowały, nie mogąc zahamować ślinotoku.

— Wypraszam sobie takie impertynencje! Jeśli nie chce pan rozmawiać ze mną, resztę uwag proszę zatrzymać dla siebie. Dziękuję. Nie mamy już o czym dyskutować. Proszę oddać klucze i niezwłocznie opuścić hotel — skwitowała z naciskiem Kaska. Odwróciła się od pęczniącego z frustracji delikwenta, chcąc ukryć swoje rozdrażnienie. Nie da mu satysfakcji! Ten śmierdziel nie będzie jej poniżał w obecności pracowników.

W odpowiedzi na ten lekceważący gest dryblas rzucił w Kaśkę kluczami apartamentu i zmiotł z blatu ulotki reklamowe. Każdy swój krok okraszał niecenzuralnymi przekleństwami. Kaśka powoli podniosła klucze i podała je roztrzęsionej asystentce. Hol wypełnił dźwięczny stukot

stalowoszarych czółenek młodej kierowniczkii.

— Mam na to wyrąbane! Ty wielka, tłusta świnió! Pocałuj mnie w dupę, chamski ryju! Nie, nawet dupy nie dałabym ci pocałować! To byłby dla ciebie zaszczyt! Twój śmierdzący i niepohamowany ryj tylko w gówno wsadzić, bo tam jest jego miejsce! Ty galaretowata meduza z wybałuszonymi galami...!

— Kasieńko, co się stało? — usłyszała. — Nie poznaję cię!

Przed winda stała szefowa — właścicielka hotelu Apart. Kaśki mama.

DZIEŃ 28

„Masz w sobie światło, najdroższa. Promieniejesz, najmiłsza. Blask, jaki roztaczasz, to miłość, kochanie. A miłość to najcenniejszy z darów. Jesteś wybranką, ma słodka. Pielęgnuj ten dar. Pielęgnuj miłość. Nie pozwól nikomu zgasić tego płomienia. Światło, które jest w tobie, otworzy wszelkie możliwe drzwi i przestrzenie, niezbędne do osiągnięcia jedności przez umysł i duszę. Nirwana. Choć wielu dąży do tej doskonałości, Tobie została ona dana ot tak, po prostu. Pytasz dlaczego, najmiłsza. Dlatego, że cię umiłowałem. Pragnę, byś była moim naczyniem. Moją lampą. Pragnę, byś dawała krystaliczną światłość naszej

miłości...”.

Odłożyła na kolana pożółkły papier. Poczuła, że ma bezwładne ręce. Nie mogła dłużej zaciskać palców na cieniutkiej, szesleszczącej płaszczyźnie listu. Delikatność materii i ciężar słów nijak nie chciały wyznaczyć współrzędnych balansu. Na czole pojawiło się kilka zmarszczek. Ściągnęła brwi, zastanawiając się nad przeczytaną treścią. A tak od niechcenia sięgnęła po ten tom...! Już od dawna chciała zajrzeć do biblioteki dziadka. Trzy ściany wypełnione dębowymi półkami. Na żadnej z półek nie było nawet szpary na nową książkę. Zapach kurzu i tajemniczy wiedzy wdierał się za każdym razem, kiedy zaglądała do pomieszczenia. Nie miała odwagi tu sprzątać.

Dzisiaj jednak coś się stało. Przechodząc obok jak zwykle zamkniętych drzwi, zobaczyła cienką lunę przedostającą się przez dziurkę od klucza. Przystanęła zaintrygowana. Jak zaczarowana wpatrywała się w tę małą krągłą czeluść. Dym...? Nie, to niemożliwe. Nie czuła dymu. Opary, prześlizgujące się właśnie do holu, miały zapach świeżej mięty i były podobne do piżmowego zapachu dziadkowej szlafmocy. Oj, był z niego mężczyzna jak się patrzy! Oj, był!

Nie mogła dłużej się opierać. Weszła. Odsunęła ciężkie zasłony, pozwalając promieniom słonecznym wpaść przez czyste szyby wysokiego okna. W powietrzu wirował kurz. Na policzku poczuła lekki powiew, który był jak pieśczoła wywołana podmuchem ptasich skrzydeł. Skąd...? Przecież okna są zamknięte.

Odwróciła głowę w stronę półek znajdujących się po prawej stronie. Podeszła. Kolejny delikatny podmuch. Spojrzała wyżej. Opasła brązowa księga na przedostatniej półce wystawała bardziej niż pozostałe. Zapraszała.

Powoli pociągnęła za jej grzbiet. Nawet nie drgnął. Szarpnęła mocniej. Z charakterystycznym szelestem materiału księga wyskoczyła prosto na jej twarz, rozpościerając swoje wnętrze niczym ptak, który rozwija skrzydła do lotu. Złapała ją, ale na podłogę opadł z szelestem zapisany papier. Podniosła. Usiadła. Zagłębiła się w zamszowym fotelu pod oknem. Zaczęła czytać...

WIOLETTA KLINICKA

Z wykształcenia historyk i trener integracji personalnej, autorka wielu publikacji. Prywatnie singielka nieszanująca zasady trzech randek. Autorka audiobooków o tematyce rozwojowej i książki „Miłość odmieniana przez przypadki”, której pikantność rozgrzeszają recenzje wspaniałych kobiet. „Tworzę dla Ciebie. Moją twórczość znajdziesz na stronach: www.oklinicka.com¹ oraz: www.mmiloscodmieniaprzezprzypadki.pl²”.

DZIEŃ 13

— Tu się zatrzymaj — wskazałam palcem.

— Ale już prawie jesteś pod twoim domem — odpowiedział łagodnie.

— Chcę się przejść. Proszę.

Spojrzałam na niego po raz pierwszy od momentu, gdy wyszliśmy z hotelu.

— Wioletta, pada.

W końcu kiwnął głową na znak zgody.

Nic już nie mówiliśmy, nawet nie zgasił silnika. Jedną ręką objęłam jego policzek, kciukiem dotykałam najbardziej namiętych ust, jakie było mi dane całować. Czułam, jak jego oczy

¹ <http://www.oklinicka.com/>

² <http://www.mmiloscodmieniaprzezprzypadki.pl/>

wpatrzone są w moje, tak głęboko, jakby chciał zajrzeć nimi do miejsc, w których ukryłam cały swój żal. Nie do końca rozumiał, dlaczego jest mi tak źle, sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Pocałował mój kciuk, przymykając powieki i chyląc głowę w dół. Nie miałam wątpliwości, że muszę wysiąść. Podniosłam lekko jego brodę, aby móc jeszcze raz wyrazić wzrokiem swój żal. Chciałam mu szepnąć do ucha: „Żegnaj”, ale zamiast tego usłyszałam tylko mój ból w lekkim szumie oddechu.

Rzeczywiście padało. Teraz moja jedwabna przyklejona bluzka odkrywała wszystkie niedoskonałości mojego ciała. „Tak nie lubię, gdy makijaż spływa po policzkach” — myślałam, widząc już drzwi. Stałam nieruchomo, słysząc zatrzymujący się samochód. Nie chciałam, aby ktoś widział mnie w takim stanie.

Poczułam lekkie muśnięcie w ramię i zapach tak obezwładniający, że ugięły mi się kolana. Odwracając się, wykszusiłam tylko cieniem głosem: „Zmokłam, cała jestem mokra”.

— Wiem — powiedział i objął mnie mocno.

fragment książki „Miłość odmienia przez przypadki”

DZIEŃ 14

„Trier owinięte zmrokiem robi się takie puste” — pomyślałam.

Gdy byłam tu pierwszy raz, nie mogłam w uwierzyć. Teraz jednak przyzwyczaiłam się do katolickich zwyczajów miasta, mimo że brakowało mi stukotu ludzkich pantofli i sopockiego klimatu.

„Tyle razy przechodziłam przez ten park, a nigdy nie zauważyłam tej karocy! — rozmyślałam dalej. — Może to jakaś atrakcja...?”

Nie dokończyłam myśli, bo z pojazdu wygramolił się pijany mężczyzna, owinięty czarną peleryną, i szarmancko poprawił biały szal.

— Poczekaj! — starał się wołać prężnym głosem. — Proszę,

poczekaj!

Nie wiem dlaczego, ale zatrzymałam się.

— Mówi pan do mnie? — zapytałam i odwróciłam się w jego kierunku.

— Do ciebie, moja muzo. Tak, do ciebie.

Starał się wyprostować, ale kolana miał wiotkie jak wierzbowe gałęzie. Nie mogłam się powstrzymać. Zaczęłam się śmiać.

— O, jak mi miło, że jestem pana muzą — odezwałam się. — Do czego pana natchnęłam? — zapytałam zawadiacko, ale on nagle klasnął w dłonie.

— Moja niewiasto, jesteś pierwszą, która nie uciekła, pierwszą, która się uśmiechnęła, pierwsza, której coś podaruję.

— Nie musi mi pan dziękować — przerwałam mu. — Podarunek jest naprawdę zbędny. Proszę mi tylko powiedzieć, do czego pana natchnęłam, bo chyba taka jest rola muzy? — dodałam i uśmiechnęłam się lekko. Liczyłam na zwięzłą odpowiedź, tymczasem on jednym ruchem ręki zaprosił mnie na pobliską ławkę.

Dziś już nie pamiętam dlaczego, ale mimo że był lekko wstawiony i cuchnął tanią tabaką, usiadłam obok niego.

— Bo widzisz — zaczął — jestem na tym świecie za karę.

— Wiele osób tak twierdzi — postanowiłam być uszczypliwa.

— Tak, ale ja muszę żyć z tym brzemieniem pośród grzeszników, którzy mają wszystko: złote domy, luksusowe karty kredytowe, szybkie kobiety i wymagające auta...

— Chyba coś się panu pomieszało? — przerwałam mu ze śmiechem.

— Tak? — zapytał i spojrzał na mnie zdziwiony. — A ty kim jesteś?

Odsunęłam się. „Wariat — pomyślałam. — Chory na umyśle”.

Miałam zamiar się podnosić, już mój tyłek wisiał w powietrzu.

— Kim jesteś — usłyszałam — aby decydować, czy dom jest złoty, czy wygodny, żona szybka czy wymagająca?

Popadłam w zadumę. Musiałam przyznać mu rację, ma przecież prawo do własnych przekonań.

— Tak, ma pan rację — powiedziałam i usiadłam.

— Wybaczam ci, bo jesteś jeszcze młoda.

— O, dziękuję, co za gest!

— Wiesz — zaczął — jestem na tym świecie po to, aby przypominać ludziom, że nie pijaka powinni się bać, ale siebie i tego, w jaki sposób postrzegają świat, jak schematycznie i szablonowo myślą i postępują; tego, jak bardzo bywają ograniczeni i mało tolerancyjni; tego, że ich życie skończy się za godzinę, dwie godziny, a może za długie lata. Tym gorzej dla nich — dodał z zadumą. — Ty się nie bałaś. Zatrzymałaś się w parku, gdy przywołał cię upadły anioł.

Nie wiem dlaczego, ale słuchałam go jak zaklęta. Już nie było mi do śmiechu. Mój umysł uważnie rejestrował każde jego słowo. „Anioł” — pomyślałam.

— Czy wiesz, że już teraz mogę wrócić do pana swego? — zapytał podchmielony starszy pan.

— To chyba dobrze? — odpowiedziałam, uśmiechając się lekko.

— Tak, i to właśnie dzięki tobie. Nie uciekałaś, nie oplułaś, nie wyzwiałaś. Może oceniłaś mnie początkowo, ale coś pozwoliło ci usiąść ze mną i po prostu pobyc z wariatem przez chwilę.

Podniósł się raptownie, wyprostował plecy, przygarbione pod ciężarem życia i wskazał karocę.

— Wsiądź — powiedział, poprawiając swój łopoczący na wietrze szal. — Odwiozę cię do domu.

Gdy obudziłam się rano, miałam wrażenie, że to był tylko sen. Otworzyłam oczy. Na lustrze widniał napis: „Dziękuję, moja muzo. Natchnęłaś mnie do wiary w ludzi. Pozostań sobą”.

Już nigdy nie spojrzałam na Trier w taki sam sposób.

DZIEŃ 16

Dzień jak co dzień, nic ciekawego się nie wydarzyło.

Nadszedł wieczór, postanowiła więc położyć się wcześniej spać. Miała nadzieję, że zaśnie. Nadzieja, jak mówią, matką głu-

pich, bo nie mogła przestać myśleć o mężczyźnie z teatru. Kim on jest? Jaki jest? Czy ciepło, które od niego było, było rzeczywiste, czy tylko je sobie wyobraziła? Ale nie, nie mogła przecież się mylić. Przecież doskonale wie, czym jest mózg społeczny.

Jeszcze raz podłączyła się do sieci i rozpoczęła poszukiwania. Może polubił stronę teatru? W tej samej sekundzie na jej telefonie pojawiła się niebieska plamka, która powiększała się tak długo, aż ekran zrobił się niebieski. Coś zaszumiało, coś zastukało i wysunęła się świetlista, bladopomarańczowa ręka. I jeszcze ten głos. Głos faceta niczym syrena wołał do niej: „Podaj mi dłoń, no szybko, bo zaraz zniknę. Podaj mi tę cholerną dłoń!”.

Podawała, bo co miała robić? Była oszołomiona. Nie myślała. Niemal zastygła. Poczuła tylko, jakby z ogromnej ślizgawki zjeżdżała do wody.

Okazało się, że znajduje się w jakimś korytarzu, który nie miał końca. Po każdej stronie niezliczona liczba niebieskich drzwi. Na drzwiach wizytówki ze zdjęciami — niektóre ją rozbałyły, inne zaintrygowały.

Ilu ludzi...! Każdy z nich biegł, każdy z nich wołał. O niektórych zaczęła się potykać. Szła, bo co miała robić?

Nagle na drzwiach rozpoznała swoją podobiznę. Uchyliła je lekko i zobaczyła siebie siedzącą przed monitorem. Po prawej stronie znajdował się wielki licznik. Zaczęła zastanawiać się, co to jest, zupełnie jakby miejsce, w którym się znalazła, nie robiło na niej wrażenia. Interesował ją tylko licznik.

Gdy podeszła bliżej, przeczytała: „Przekroczyłeś 1 000 000 godzin”. „Jakie milion godzin? — pomyślała. — O co tu chodzi...”. Nie zdążyła dokończyć myśli, gdy pojawił się mały człowieczek i wskoczył jej na ramię.

— Tyle godzin spędziłeś na Facebooku — odezwał się — dlatego postanowiliśmy spełnić jedno twoje marzenie. W momencie, gdy wybijała milionowa godzina, marzyłeś o nieznanym, więc cały nasz zespół chce pomóc ci w poszukiwaniach. No bo jeśli nie ma go na FB, to znaczy, że nie żyje, że go sobie wymyśliłeś. Wszyscy mają FB — zakończył dumnie.

Milczała. Nie była w stanie myśleć racjonalnie. Zamiast przeżycia z powodu wejścia w ten wirtualny świat, cieszyła się z nagrody.

Poszukiwaniom nie było końca. Musiałabym cały dzień opisywać, co widziała i z kim rozmawiała. Głowa mała, co ci ludzie robią na Fejsie. Jedni tylko randkują, ba, nawet seks uprawiają przez te małe kamerki, inni ciągle coś sprzedają, jeszcze inni kłócą się albo słuchają muzyki. Nogi ją nogi rozbolały, a wciąż żaden z pokoi nie należał do faceta z teatru.

W samym teatrze też za wiele się nie działo. Ludzie zaglądają na stronę tylko po to, by sprawdzić repertuar; nie dzielili się emocjami ani przed wydarzeniami, ani po nich. Chciała się poddać. Usiadła pod jakimiś drzwiami.

— Dziękuję za prezent — powiedziała do malutkiego człowieka. — Było miło spotkać, a nawet podglądać tych wszystkich ludzi, gdy tak potykają się, spieszą, biegają po różnych pokojach. Ale na mnie już pora, rano muszę iść do pracy.

— Chcesz wracać? — zapytał maluczki. — Może jeszcze kilka drzwi, może jeszcze...

— Przepraszam — przerwał mu ktoś nagle. — Może pani wstać? Chciałbym wejść do pokoju.

Podniosła wzrok. Facet podał jej rękę, pomagając jej podnieść się z podłogi. Malutki omal nie spadł z jej ramienia.

Mężczyzna podziękował i otworzył drzwi. Nie mogła oprzeć się pokusie i zajrzała mu przez ramię.

W pokoju panował spokój. Wszystko było poukładane, w przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń. Żadnego burdelu na kółkach i pięciuset nieodebranych wiadomości. Wszystkie posty czekały w kolejce na udostępnienie. Wszystkie były prze-myślane i tworzyły spójną całość.

Za biurkiem siedziała wyprostowana postać, od której biły ciepło i empatia. „Miły pokój” — pomyślała. Drzwi powoli zamykały się, gdy nagle krzyknęła tak głośno, że ludzie wybiegli na korytarz z pozostałych pokoi, myśląc, że coś pękło na łączach. Zatrzęsło się od tupotu ich nóg.

— Co się stało? — krzyknął ktoś, ale oni już stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Zrobił krok do przodu. Każdego замуrowało. Przełknęła ślinę.

— Znam to ciepło — zaczęła pierwsza.

— A ja znam ciebie — odparł.

Zaczęli przytulać się i całować, no wiesz, jak w tych filmach z happy endem. Zgromadzeni wokół ludzie klaskali i wiwatowali. Zespół FB był z siebie dumny, ponieważ kolejna aplikacja zdała egzamin. Odtąd wszyscy przesiadują na FB i prześcigają się, chcąc dobić do miliona godzin, by w nagrodę otrzymać wycieczkę po najdłuższym korytarzu świata, który został wpisany do Księgi Guinnessa.

Co z nimi — nie wiem, bo od tamtej pory rzadko wstawiają posty. Zmienili status na „w związku” i tyle ich widziano. Kurczę, może przerzucili się na Instagram...? Hmm... Muszę sprawdzić.

DZIEŃ 2

Stałam jak wryta, nie wiedząc, co powiedzieć. Wiedziałam tylko, że gdy teraz przekroczę tę cienką linię, nie będzie już powrotu. Muszę trzymać się swojego stanowiska. Chociaż raz dotrzymać słowa danego samej sobie.

Bałam się. Moje oczy zaszyły mgłą. Przestałam dostrzegać rzeczywistość. W głowie słyszałam jakieś obce głosy; brzmiały jak koszmarna, niemająca końca awantura. Zamknęłam powieki, aby nie patrzeć na jego szyderczą minę. „Przecież on taki nie jest — pomyślałam. — Przecież jeszcze kilka minut temu mnie kochał, trzymał w uścisku. Przecież należę do niego”.

Nagle ocknęłam się. Moje usta zaczęły układać się w słowo „Przepraszam”, gdy usłyszałam płacz dziecka. Znów go słyszę.

Otworzyłam szerzej oczy, zmarszczyłam i tak pomarszczone czoło i poczułam, jak napinają się moje mięśnie. „Nie waż się tak do mnie mówić” — zdawała się mówić moja wypchnięta do przodu klatka piersiowa. W jednej sekundzie gniew zaczął wypełniać mój umysł. Tylko strach powstrzymywał mnie przed utratą pano-

wania. Odwróciłam się w milczeniu.

„Mój mały chłopiec” — pomyślałam, spoglądając na moje dziecko. Powolnym ruchem owinęłam je w koc i poszliśmy, zamykając za sobą te straszne, ciężkie drzwi. Wciąż się bałam. Nie wiedziałam, czy za nami nie będą się ciągnęły ciemne chmury przeszłości. „Trochę nadziei, kobieto, trochę wiary...”

DZIEŃ 7

Ostatni wagon przeleciał z hukiem wybiegliśmy na tory.

— Stałem jak zamurowany, na szczęście w ostatniej chwili pociągnąłem swoją asystentkę. „Boże, co ja bym bez niej zrobił?! — taka egoistyczna myśl przeleciała mi przez głowę. — Tylko dlaczego jest tak ślamazarna?”.

Nie mogłem przestać myśleć o niej, zupełnie jakby nie docierało do mnie, że właśnie mogliśmy zginąć. Myślałem tylko o pracy, bo przecież ona jest częścią mojej firmy. Nie, jest jej szyją. Co ja mówię! Jest jej prawą nogą!

Nie mogłam wytrzymać. Wybuchnęłam śmiechem. Wiem, że to nie był odpowiedni czas. Być może pomyślicie o mnie: „Wariatka!”, ale szkoda, że nie widzieliście miny Roberta! Był tak bardzo pochłonięty opowiadaniem o Juli, że nawet nie zareagował na mój wybuch; po prostu mówił dalej. Wyglądał jak zakłęty.

— Zawsze ma taki burdel na swoim biurku, a jednak gdy czegoś potrzebuję, nie zdążę skończyć myśli, a ona już podaje potrzebne dokumenty. Wiesz — dodał, gdy udało mu się złapać oddech — wystarczy, że zacznę błędzić wzrokiem po stercie papierów, a on wie, ona po prostu wie. Kiedy jestem wściekły — o, to jest najlepsze — kiedy jestem wściekły, patrzy na mnie takim wzrokiem, takim, wiesz... ciepłym — podkreślał tempo — przenikającym, hmm... tajemniczym, że od razu krew przestaje wrzeć, a serce jakoś się uspakaja i czuję już tylko dziwne ciepło w żołądku — zniżył głos, odchylił głowę do tyłu i zaplótł dłonie na karku. — Kurczę, tylko nie mogę za długo patrzeć na nią, na te jej zawsze w nieładzie włosy — zamyślił się i zmarszczył brwi.

Wykorzystałam ten moment, aby jeszcze bardziej podkreślić atmosferę, i zapytałam:

— Co, nie podobają się ci jej włosy?

Zareagował natychmiast. Wyprostował się, jakby miał zamiar się tłumaczyć.

— Nie, nie, mają cudowny kasztanowy odcień — zniżył głos. — A jej skóra jest tak cudownie biała — dodał, wciągając nosem powietrze. — I ten jej mały nosek — roześmiał się ciepło. — Ten jej nosek, na którym nie utrzymałyby się żadne okulary. Dlaczego nie nosi kontaktów? — zamilkł, zadumiony.

Nagle zerwał się jak poparzony, a ja tylko zdążyłam uchylić głowę — nie chciałam dostać kurtkę, którą zgarnął z kanapy, na której siedział.

— Gdzie kwiaciarnia! — nie zapytał, tylko krzyknął. Gdy trzymał klamkę drzwi wyjściowych — no gdzie ta cholerna kwiaciarnia!

„No cóż — pomyślałam, gdy przez okno mojej nowiutkiej kuchni patrzyłam na jego płaczące się nogi i niezdarnie rozkładany parasol — nic nie dzieje się przez przypadek”.

Ps. Może to marzenie niejednej asystentki, a może znak, że ludzie nie dostrzegają tych, którzy codziennie rano parzą im kawę i dbają, aby czuli się komfortowo? A może wiele osób uważa, że z jakiegóż, dla mnie niewytłumaczalnej przyczyny, ten uśmiech, ta kawa po prostu się im należą...?

MARIUSZ KOCHAŃSKI

Miłośnik literatury popularnonaukowej, science fiction oraz trylogii „Mass Effect”. Od dzieciństwa interesuje się mapami. Swoją przyszłość wiąże z wydaniem co najmniej dwóch książek.

DZIEŃ 2

Widzisz to zdjęcie? Co na nim widzisz?

Oczy powiedzą ci, że drzewo, chmury, drogę.

To takie proste.

A co by powiedziały uszy?

Zapewne, że zbliża się gwałtowna burza.

Stoisz zatem przed tym drzewem i czujesz jego zapach. Dłonią muskasz powiewające liście, których delikatność cię urzeka. Zrywasz jeden i próbujesz przeżuć. Nie smakuje ci, więc wyrzucasz.

A co z resztą zmysłów? Przecież jakoś utrzymujesz równowagę na tej drodze. Czujesz spadającą temperaturę powietrza. Na chwilę zamykasz oczy, ale nadal wiesz, że stoisz obok drzewa.

Wydaje ci się, że to już wszystko. Czy aby na pewno?

Co z czasem? Widzisz go oczami? Słyszysz uszami? Czujesz go nosem? Przecież on tu jest, wraz z tym drzewem, tymi chmurami, tą drogą. I z tobą też.

Co z przestrzenią? Widzisz, jak się zakrzywia? Czujesz, jaki ma smak? Czujesz jej dotyk? Przecież to drzewo, chmury, droga i ty, jesteście w niej zatopieni.

Zrobiłeś zdjęcie tego drzewa, chmur i drogi? Zachowałeś niepowtarzalną chwilę swego życia.

Coś jeszcze?

Policzono, że w szklance mieści się niemal kwadrylion cząsteczek wody. To więcej niż szklanek wody we wszystkich oceanach świata i więcej, niż kiedykolwiek żyło, żyje i będzie żyć ludzi na Ziemi.

Ile szklanek wody widzisz w drzewie? A ile jej cząsteczek?

Ile cząsteczek wody spadnie podczas tej burzy? Ile cząsteczek wody pochłonie ta droga? A ile protonów, neutronów i elektronów?!

A co z tobą? Stoisz i patrzysz na to drzewo, na te chmury, na tę drogę, a w tym czasie sto miliardów neuronów w twoim mózgu bezustannie przesyła sygnały elektryczne, które wymagają przedstawiania tryliardów atomów.

Czujesz ich dotyk, smak, zapach?

Jak to możliwe?

Zatracamy się w codzienności. Dostrzegamy tylko to, co jest łatwe do zaobserwowania. Zapominamy, że możemy dostrzec również to, co na pozór jest nieuchwytnie.

Nie zobaczymy tego i nie usłyszymy. Nie posmakujemy, nie dotkniemy ani nie wyczujemy zapachu, ale mimo to będziemy czuli obecność tego czegoś. W jakiś sposób będzie to tkwiło w naszej świadomości.

Fakt ten zawdzięczamy najpotężniejszemu darowi natury — potędze umysłu. To on umożliwia nam dostrzeżenie tego, co widoczne zmysłami, ale także tego, czego zmysłami zobaczyć nie można.

DZIEŃ 5

Rzeźkie powietrze przedostawało się przez otwarte okno. Krajobraz przed jej oczami mknął jak oszalały. Nim zdążyła przyjrzeć się jednemu drzewu, pojawiała się kolejne i kolejne, i kolejne.

Widoki zaczęły sprawiać wrażenie jakiejś nieregularnej struktury, której sensu ani kształtu na próżno było szukać. Z każdą chwilą popadała w coraz głębszą hipnozę i tylko stukot kół wagonu psuł tę harmonię. Był jednak na tyle regularny, że i w pewnym momencie wkomponował się w rytmikę beztróskich sekund. Zatracała się w tym błogostanie. Pomyślała, że mogłaby to już być dla niej wieczność.

Trzask!

Gwałtownie zerwała się z miejsca, instynktownie poprawiając koszulę. Po przeciwległej stronie zmaterializowała się sylwetka zmęczonego życiem mężczyzny, który bezceremonialnie rzucił się na fotel, nie przejmując się tym, gdzie znalazły się rzeczy, które jeszcze przed chwilą trzymał w dłoni. Ociężale sapnął i mimowolnie podniósł rękę.

Powiodła wzrokiem po nieokrzesanym jegomościu i dopiero teraz dojrzała na niższej półce niewielką pomietą reklamówkę, po którą bezskutecznie próbował sięgnąć. Odburknął coś niewyraźnie i podniósł zad, po czym skwapliwie zacisnął w dłoni rzucenym wcześniej przedmiot.

Dostrzegła poniszczoną paczkę papierosów i widniejący na niej napis: „Męskie” i dopiero teraz uświadomiła sobie, że od minuty jej płuca domagają się tlenu, a jej krtań ma ochotę wyksztusić wnętrzności.

Wyskoczyła z przedziału. Wykonała kilka gwałtownych ruchów szyją i obrała kierunek. Po przebiegnięciu niemal połowy korytarza kątem oka zwróciła uwagę na ścianę, na której znajdowała się doskonale widoczna informacja: „Zakaz palenia”.

Bieg w stronę toalety wydawał się równie długi co zakorkowane ulice w Warszawie. Szarpnęła za klamkę i zamarła. Nogi bezwiednie ugięły się pod nią, a grymas na twarzy sugerował, że za chwilę zwróci resztki śniadania. Jedynie dłoń przystawiona do ust powstrzymywała ją od niecodziennego aktu zgonu.

Podniosła głowę, aby spojrzeć w głąb pomieszczenia, lecz gęsta mgła uniemożliwiała dojrzenie czegokolwiek. Dłoń zacisnęła w pięść. Gwałtownie zatrzasknęła drzwi i z prędkością światła

tła pomknęła z powrotem przez korytarz. Złapała obydwu krańce drzwi i przez chwilę próbowała uspokoić oddech. Nie udało się, bo za każdym razem, gdy spoglądała na dziadygę, jej twarz imitowała ziejącą ogień pochodnię.

— Czy ty... czy ty, człowieku, masz problemy z głową?!

— Czoooo? — odezwał się chrapliwym głosem.

— Pytam, czy masz problemy z głową?!

— Czego chcesz, babo?

— W wagonach obowiązuje zakaz palenia! — powiedziała, wskazując palcem w stronę ścian z informacją.

— Jo nic nie wiem o żadnym zakazie. Jaki tu żakaż, czooo?!

— Czego nie rozumiesz, impertynencie?! Tu nie można palić!

— Jo mogem robicz, co chce, babo.

— Człowieku, czy ty jesteś niespełna rozumu?!

— Odczeb siem, babo. Ja tu znam wrzytłkich z okolicy. Diluj rz tym.

— Co mnie obchodzi, kogo znasz, stary przyku?!

— Jo czebe nie rznam. Kto ty babo jertzterz?

— Jestem sędzia Anna Maria Wesołowska. Diluj z tym, gdzie!

DZIEŃ 6

Wpół skulona Niferet oparła się o ścianę w kącie kamiennego budynku. Z trudem wzięła kilka głębokich oddechów, po czym powiodła wzrokiem przed siebie.

Znalazła się w spowitym mrokiem zaułku, u którego wylotu dostrzegała migotające światło popsutej lampy ulicznej. Serce załomotało jej niczym uderzenie młota w rozrzedzone żelazo. Dotarło do niej, że ma tylko jedną możliwość ucieczki, a to oznaczało ruszenie w stronę tego przerażającego miejsca. Jedyne miejsca, jakie tu знаła. Nie potrafiła określić, jak bardzo oddaliła się od trzech zimnych ścian i pokrytych brudem krat. Nie potrafiła oszacować, ile minut, a może godzin, minęło od momentu, gdy naciskała spust AK-47. Pamiętała tylko ułamki sekund, w trakcie

których mknęła przez korytarz łączący jej więzienną celę ze zbrojownią, czując, że płynie jak ptak w przestworzach ku słońcu.

Spojrzała na dłonie spowite karmazynem. Potarła nimi o obszarpaną bluzę i dopiero teraz zorientowała się, że to, co miała na sobie, nie jest już błękitnego koloru. Usta jej zadrżały, a po policzkach spłynęły łzy.

— Dlaczego nie schodzi? — wyszeptała gorzko i potarła jeszcze raz. — Dlaczego nie schodzi? — ponowiła pytanie.

Kilkoma gwałtownymi ruchami przeciągnęła ręce po klatce piersiowej.

— Dlaczego nie schodzi?! Dlaczego nie schodzi?!

Jej oddech nabrał intensywności, a mięśnie się naprężyły. Niferet zacisnęła pięść. Potarcia zamieniły się w gwałtownie uderzenia.

— Dlaczego nie schodzi?! Dlaczego nie schodzi?! — pytała głosem bliskim obłędu.

Trzask! Zabrzmiało po drugiej stronie.

Kłapa od śmietnika opadła z hukiem. Z wnętrza wyrzały ślepie. Niferet przywarła do kamiennej ściany, jakby pragnęła się w nią wtopić. Ślepie zamarły.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, przyglądali się sobie przez chwilę. Po chwili ślepie zniknęły w ciemności. Dostrzegła teraz, że w wypełnionym budynkami zakamarku blask księżyca oświecił niewielki fragment płotu. Ślepie też tam były. Ponad ślepiami piętrzyły się ciemne kwartały wrogiego miasta.

DZIEŃ 8

— Czy udałoby mi się spotkać Magę? — zapytałem pogardliwie, patrząc na Wielkiego Alfabetę. — Bez jej magicznych słów nie rzucimy bariery ochronnej na ostatnich Polan, którzy strzegą fragmentów Księgi Poprawnej Polszczyzny!

— Mam nadzieję, że chowają te kartki. Powstanie z nich książka, dzięki której będą mogli nadal ze sobą rozmawiać.

DZIEŃ 10

W starożytnych murach kawiarni „Pożegnanie z Afryką” archeolodzy z Uniwersytetu w Białymstoku odkryli włos. Badania DNA wykazały, że włos należy do Mariusza Ka, jednego z uczniów słynnej doktor literaturoznawstwa Krystyny Bezubik.

Dr Krzysia Bezubik, autorka bestsellera „Piszę bo chcę. Poradnik Kreatywnego Pisania”, zasłynęła z wyszkolenia 101 najsłynniejszych pisarzy, poetów i blogerów, którym talentu pisarskiego pozazdrościł sam Adam Mickiewicz. Jedna z hipotez głosiła, że za tak niewiarygodnym sukcesem jej metod nauczania pisania stało dzielenie włosa na czworo. Nie było jednak na to żadnych dowodów, aż do teraz, gdy odnaleziono włos Mariusza Ka.

To sensacyjne odkrycie — emocjonuje się profesor Marian Łysy z Uniwersytetu w Białymstoku. — Przez wieki wybitne umysły dociekały metod szkoleniowych dr Krystyny Bezubik, które stoją za tak niewiarygodnymi sukcesami pisarskimi jej uczniów. Teraz mamy pewność co do tej metody!

Zespół specjalistów z Uniwersytetu w Białymstoku i Politechniki Białostockiej opracował szczegółowy eksperyment, który miał na celu podzielenie włosa na czworo.

Mieliśmy tylko jedną możliwą próbę. Nie mogliśmy popełnić żadnego błędu. Udało się. Podzieliliśmy włos Mariusza Ka na czworo. Jest to bezpośredni dowód na to, że ta metoda faktycznie działa — tłumaczy dr inż. Stefan Kudłaty. — Eksperyment wymagał niezwyklej precyzji, a więc i solidnego przygotowania. Zastanawialiśmy się nad wieloma metodami podziału włosa na czworo, ale ostatecznie wzięliśmy pod uwagę dwie najbardziej obiecujące: cięcie pionowe i tzw. metodę dzielenia poziomego. Jak wspomniałem, mieliśmy tylko jedną próbę do wykorzystania, musieliśmy więc wybrać bezpieczniejszą formę. Padło na drugi ze sposobów. Choć włos jest zbudowany z twardej, spoistej keratyny, jego niewielki rozmiar sprawia, że staje się podatny na wiele uszkodzeń. Doświadczenie zatem wymagało, jak już wspomniałem, starannego przygo-

towania i niezwykle sterylnych warunków. Eksperyment przeprowadziło dwóch inżynierów. Pierwszy, specjalizujący się w bezruchowym i długotrwałym staniu w miejscu, trzymał w dłoni włos. Drugi, wielokrotnie nagradzany za wybitne osiągnięcia w cięciu nożycami, precyzyjnie ciął włos nożycami. Ich olbrzymie doświadczenie i zaangażowanie w wykonywane zawody pozwoliło na podzielenie włosa na cztery równe części.

Mariusz Ka zasłynął z tak wybitnych powieści jak „Zapomniany tytuł”, „Nieznany autor” czy „Kosodrzewina jako górską odmiana sosny”.

Sukces eksperymentu przyczyni się do opracowania rewolucyjnych metod leczenia analfabetyzmu i — jak liczą młokosi aspirujący do miana pisarza — stworzenia pierwszego wybitnego dzieła od przeszło 400 lat, które dałoby się czytać. Gdy zatem ktoś zapyta, „po co dzielić włos na czworo?”, radzimy: dzielcie włos na czworo, a osiągnięcie niezwykle sukcesy pisarskie!

ANNA KOSACKA

Socjolog z wykształcenia, pisarka z zamiłowania. W czasie przeprowadzek połowę jej dobytku stanowią książki. Choć pisze od kilkunastu lat, dopiero teraz zdecydowała się na wyjście z szafy.

DZIEŃ 1

Nic do stracenia

„A więc to koniec — pomyślała Anna, po raz ostatni zamykając za sobą drzwi firmy. Jeszcze do niedawna było to jej miejsce pracy. Dziś kończyła swoją przygodę z projektami szkoleniowymi i funduszami unijnymi. — Tylko co dalej? Oszczędności wystarczą mi na jakieś dwa, trzy miesiące. Co potem?”

Potok myśli przerwał natarczywie dzwoniący telefon.

— Tak? — rzuciła mechanicznie do słuchawki. — Słucham?

— Dzień dobry — usłyszała głos właścicielki mieszkania, które wynajmowała. — Chciałam tylko poinformować, że zdecydowaliśmy się sprzedać mieszkanie. Znajdzie pani sobie coś nowego? — W ostatnim zdaniu dawało się wychwycić fałszywą troskę.

— Tak, oczywiście — Anna starała się, aby jej głos brzmiał normalnie. — Chyba nie mam innego wyjścia.

— Bardzo mi przykro, ale sytuacja zmusza nas do tego kroku. Niestety, nie mogę zaproponować pani żadnego lokalu zastępczego.

— Dam sobie radę. Czy to już wszystko?

— Tak, to wszystko. Oczywiście zadzwonimy do pani, gdy już

znajdziemy kupca. Do widzenia.

— Do widzenia.

Anna czuła, jakby straciła grunt pod nogami. Najpierw praca, teraz mieszkanie. Nic więcej nie miała do stracenia.

Wróciła do mieszkania tylko po to, aby jeść byle jaki obiad, przebrać się w bardziej wystrzałowe ciuchy i po godzinie wyjść.

Życie przecież toczy się dalej. Może znajomi się nie zorientują, że właśnie runął cały jej świat. W autobusie zadzwoniła do przyjaciółki.

— Hej, Aśka! Masz jak gadać?

— No mam, ale szybko, bo zaraz Paweł u mnie będzie.

— Krótka piłka. Czy to mieszkanie, o którym mi mówiłaś, nadal jest do wynajęcia?

— Pewnie! A co, zainteresowana?

— Muszę sobie coś na szybko zorganizować.

— Spoko, zaraz dam ci numer do właściciela. W sumie możesz wprowadzić się tam nawet jutro.

— Aż tak mi się nie spieszy. Muszę jeszcze ogarnąć kilka rzeczy. To do potem!

— Do potem. Zdzwonimy się jakoś.

„No, chociaż jedno mam z głowy — pomyślała. — Jutro trzeba będzie roznieść parę CV i złapać jakąś chałturkę, żeby mieć kasę na rachunki. Ale najpierw urlop...”

* * *

W tym samym czasie w szufladzie minimalistycznego biurka Anny zapanowało nagle poruszenie. Wiersze, które pisała od kilkunastu lat, poczuły, że w końcu nadszedł ich czas. Muszą tylko trochę pomóc swojemu szczęściu. Ale jak to zrobić?

Szuflada zaszurała cicho i z niewielkim łoskotem wysunęła się z biurka na podłogę. Uwolnione wieszki rozbiegły się po całym pokoju.

* * *

Anna czuła się skonana. Całe szczęście, że Mariusz podwiózł ją samochodem praktycznie pod same drzwi, w przeciwnym razie czekałby ją samotny spacer na przystanek, a później oczekiwanie na autobus. A trzeba przyznać, że o tej godzinie nie jeździły one za często.

W głowie huczało jej pytanie: „To co ty NAPRAWDĘ chcesz w życiu robić?”.

Ostatkiem sił przekręciła klucz w zamku. A to co, u licha? W pokoju leżały porozrzucane kartki z wierszami. Jej wierszami.

Anna chyba już знаła odpowiedź. Właściwie wiedziała o tym od zawsze, tylko jej życie poszło nieco inną drogą. Wydarzenia ostatnich kilku godzin przypomniały jej jednak o dawnych marzeniach.

Szybko pozbierała rozrzucone świstki.

— A więc skoro tak, to będę pisać. Może dzięki temu uda mi się płacić za rachunki — szepnęła częściowo do siebie, częściowo do trzymanyh w dłoniach wierszy. Jej wierszy.

DZIEŃ 2

Zielony pokój

— W końcu na miejscu — westchnęła. — Już myślałam, że nigdy tu nie dotrę.

Anna ostatkiem sił przekręciła klucz w zamku i weszła do domu. Jej rodzinnego domu. To tu wszystko się zaczęło. To tu wracała co jakiś czas, żeby naładować baterie, a teraz przyjechała, aby zacząć wszystko od początku. Nie, nie zamierzała przeprowadzić się tutaj na stałe; to było jej miejsce. Jej świątynia dumania.

Wniosła walizki do niewielkiego pokoju ze ścianami w kolorze zielonym. To tutaj członkowie jej rodziny od pokoleń przyjeżdżali na tak zwane przemyslenie. Teraz Anna przejęła pałeczkę w tej sztafecie.

Zielony pokój przywitał ją promieniami słońca tańczącymi między firankami. Od tylu lat spędza w nim każdą wolną chwi-

lę...! Przyjeżdżała tu, gdy tylko udawało jej się wyrwać się z miasta. Potem wracała do miliona swoich spraw. I tak w kółko. Ktoś stojący z boku mógłby powiedzieć, że te godziny spędzone na medytacji w zielonym pokoju nic jej nie dały, ale to nieprawda. Przecież wszystko w życiu jest po coś. I nic nie dzieje się bez przyczyny.

Anna pod skórą czuła, że ta wizyta w zielonym pokoju będzie zupełnie inna niż wszystkie poprzednie. Nie wiedziała tylko, jak bardzo...

DZIEŃ 9

Marzenia

Po wyjściu Anny Piotr zgarnął rozrzucone na biurku papiery. Wiersze. Jego wiersze. Niemi świadkowie jego codziennych zmagani. Walki o życie pacjentów, ale nie tylko.

Piotr miał też swoją małą tajemnicę. Uroczą pięciolatkę, Julkę. To ona była całym jego światem. I tylko dzięki niej nie załamał się po śmierci żony. Trzy lata temu Ewa zginęła w wypadku samochodowym. Kierowca zasnął za kierownicą i bezwiednie zjechał na przeciwny pas. Ani Ewa, ani tamten człowiek nie przeżyli wypadku.

Piotr do dzisiaj obwinia się o śmierć żony. Przecież to była jego kolej, aby jechać po Julkę do przedszkola! Ale postanowił zostać dłużej w pracy, aby być przy tym, jak jeden z jego pacjentów wybudzi się po operacji. „To tylko godzina — tłumaczył się sam przed sobą. — Przecież świat się od tego nie zawali”.

A jednak.

Piotr miał też ogromny żal do drugiego kierowcy. Skoro był zmęczony, mógł nie siadać za kółkiem, tylko wziąć taksówkę. Tysiące scenariuszy. Tysiące pytań bez odpowiedzi, a wśród nich to najważniejsze: „Kiedy wróci mama?”. Julka była za mała, żeby zrozumieć, co tak naprawdę się stało, a Piotr nie umiał jej tego wytłumaczyć.

Ogromnym wsparciem okazała się dla niego jego własna

matka. Pani Maria tak, jak umiała, próbowała zastępować małej zmarłą mamę, w głębi serca czuła jednak, że jej syn powinien znaleźć sobie partnerkę, która mogłaby stać się jego żoną i mamą dla małej Julki.

Pod wpływem emocji i myśli zaczęły powstawać pierwsze, jeszcze nieśmiałe próby pisarskie. Piotr nigdy nie był dobry z polskiego — od zawsze wołał chemię i biologię — ale kiedy przelewał swoje emocje na papier, robiło mu się zwyczajnie lżej. Pisanie stawało się dla niego pewnego rodzaju terapią. I odpoczynkiem. Od pracy, od bólu i od Julki (małe dziewczynki potrafią zmęczyć nawet najwytrwalsze i zaprawione w bojach nianie).

Jedna myśl nie dawała mu jednak spokoju: czy uda mu się stworzyć Julce prawdziwy dom? Taki z mamą i tatą. Czy znajdzie się kobieta, która będzie zdolna pokochać ich oboje?

DZIEŃ 10

Zanim powiesz: „Tak”

Zimny jesienny wiatr nie dawał za wygraną. Wył i gwizdał między drzewami z taką siłą, jakby koniecznie chciał coś powiedzieć. Ale czy ktoś dziś słucha wiatru? Może tylko dzieci i szaleńcy.

Maga przysiadła na skrawku mury okalającego cmentarz miejski. Nigdy nie przepadała za tym miejscem. To było królestwo śmierci, a zarazem królestwo Satana. To był jego świat.

Anna pewnym krokiem weszła na teren cmentarza i od razu skierowała się do bocznej alejki. To właśnie tam, na samym końcu, znajdował się grób Adama. Nie była na nim od ostatniej rocznicy. Tuż po pogrzebie godzinami przesiadywała na małej granitowej ławce, potem pojawiała się kilka razy w tygodniu, raz w miesiącu, aż wreszcie przestała przychodzić. To był jej sposób na to, żeby zapomnieć.

Ale teraz jak nigdy w życiu czuła, że potrzebuje męskiego ramienia. Nieważne, że udało jej się załatwić pracę dla Marcina, że dostała propozycję zdalnego tłumaczenia tekstów, więc mogła

przenieść się do wioski na stałe. Z pozoru życie wracało na utartą ścieżkę. Praca — dom — praca — dom. Ale czy tego właśnie chciała?

Mara przeszłości na jedną godzinę / obecne szczęście zakłócić — przypomniały jej się słowa ulubionego poety. Anna już wiedziała. Aby mogła dalej żyć, musi przestać uciekać i pozwolić, aby pewne rzeczy w niej umarły.

Marcin wytrwale stał obok. Mężczyzna również był zajęty swoimi myślami. Zastanawiał się nad wydarzeniami ostatnich kilku godzin. Ktoś patrzący z boku mógłby odnieść wrażenie, że chwycił Pana Boga za nogi. Ale Marcin najzwyczajniej w świecie się bał. Nie chciał zawieść zaufania, jakim obdarzyli go Anna i Robert. Wiedział, że ta praca to szansa na lepsze życie. Dla niego i dla Mirki. Może uda im się zacząć wszystko od początku? Bez pijackich awantur ojca i cichego płaczu matki. Tylko czy wystarczy mu siły, aby wytrwać? A co, jeśli mu się nie uda?

Szczwany jesienny wiatr przywiał im pod nogi strzęp gazety, z którego można było odczytać tylko jedno zdanie: *Tylko ten, kto nie boi się przegrać, w końcu odniesie zwycięstwo.*¹

DZIEŃ 22

Dom słów

Otom ja

Na falochronie życia bez-dumnie trwam

Twardy głaz...

— Nie, nie i jeszcze raz: nie. — Piotr zmiął kolejną kartkę maszynopisu i rzucił ją w kąt pokoju. — Dlaczego, odkąd spotkałem tamtą kobietę, pisanie zupełnie mi nie idzie? Zupełnie jakby natchnienie wzięło sobie wolne.

A przecież kiedyś poezja przynosiła ukojenie. Jak najlepsza

¹ Jan Paweł Tomaszewski, *Jedno ma imię, a jak wiele znaczeń. O porażce słów kilka*, Estilo, maj 2016.

terapeutka leczyła skołatane nerwy, balsamem słów oblewała poranioną duszę. Tak było. Do wczoraj.

A dziś? Słowa stały się zbyt toporne, zbyt koślawe. Sensy i supersensy tańczyły wokół jakby w jakimś szalonym, chocholim tańcu. A zakresy znaczeniowe? Te zupełnie oszalały. Już nie wystarczało zwykłe: „koń, jaki jest, każdy widzi”. Każde słowo miało teraz tysiące znaczeń, wyobrażeń, wizji...

Piotr jeszcze nigdy nie czuł czegoś takiego. Nawet wtedy, gdy zakochał się w Ewie, potrafił okiełznać słowa własnej poezji. I nawet wtedy, gdy prawie oszalał z radości po narodzinach Julki. A teraz?

Gonitwa myśli była zbyt chaotyczna, zbyt nieokiełznana, zbyt... piękna, aby mógł ująć ją w ramy sonetów, które pisywał do tej pory. Uwielbiał tę formę za jej klarowność, jasność zasad i... przewidywalność, choć czasami czuł się znużony przez ten sam, stale powtarzający się układ rymów: abab abab cdc dcd, i znowu: abab abab cdc dcd... Ale wracał do niego za każdym razem, gdy potrzebował wytchnienia, jak wraca się do rodzinnego domu.

Dziś jednak było inaczej.

Słowa, do tej pory posłuszne rygorowi i zasadom klasycznego sonetu włoskiego, nie chciały ułożyć się w zgrabne trzynastozgłoskowe wersy. Chciały żyć własnym życiem. W końcu popłynęły rzeką znaczeń. Potokiem rwącym, choć jednocześnie w pewien przedziwny sposób dającym ukojenie skołatanej duszy:

*Zgubiona rękawica
Rzucona światu na wyzwanie
Jakby współczesna Guernica
Wiersze pisane na kolanie*

*Wzrok pusty w dal wpatrzony
Czeka aż przyjdzie nowy świt
Nigdy nie będzie odnowiony
Pradawnych bogów stary ryt*

*Na horyzoncie czasu zdarzeń
Dwie drogi nigdy nie łączone
Odpryskiem dawnych marzeń
Serce na dwoje podzielone*

*Słowa złożone w słów kaskady
I starych zaklęć dawna moc
Nikt ze współczesnych nie dał rady
Rozświecić tę przedwieczną noc*

*Zanim się zgubisz w świata szumie
Wsluchaj się w to co szepce wiatr
Nie mów że nic już nie rozumiesz
To tylko życia mały kadr*

*A kiedy pójdziesz prostą drogą
Tą która wiedzie w światła stronę
To dawne duchy ci pomogą
I wszystko będzie już znajome.*

W momencie, w którym Piotr stawiał kropkę po ostatnim wyrazie, rozległo się cichutkie pukanie do drzwi. Jakby ktoś, kto stał po drugiej stronie, sam nie wiedział, czy chce, aby mu otworzono.

A jednak drzwi zostały otwarte. Wraz z Anną wchodzącą do mieszkania Piotra wdarł się szczywany północny wiatr. Zawirował po mieszkaniu, rozrzucił papiery leżące obok kosza na śmieci i już go nie było.

— Chyba ci przeszkadzam — powiedziała Anna. — W sumie przyszedłam tylko na chwilę.

— Nie, ależ skąd — odpowiedział Piotr. — Tak tylko sobie... pisałem. Chyba każdy ma prawo mieć jakieś hobby?

— Nawet powinien. — Anna uśmiechnęła się lekko. — Tak się złożyło, że po naszej kawie zostawiłeś na stoliku swój notes. Był w nim zapisany twój adres, a że byłam w okolicy, postanowiłam

ci go oddać osobiście.

— Czytałeś? — zadrżał lekko głos Piotra. — To były bardzo osobiste zapiski.

— Przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać. Te sonety są piękne. Jest w nich coś takiego... Sama nie wiem... Jakaś jakby magia.

— E tam, gadanie — odpowiedział Piotr. — Naprawdę ci się podobały? — dodał po chwili.

— Tak. Już wyrosłam z mówienia czegokolwiek pod publiczność. A więc oddaję ci twoją własność. Chyba powinnam już sobie pójść.

— Zaczekaj. Nie moglibyśmy tak po prostu porozmawiać?

— Matko, kolejny! I co? Może mi jeszcze powiesz, że chcesz mnie lepiej poznać i takie tam... dyrdymały? — Anna schowała się za potokiem słów niczym żołnierz za tarczą.

Ile razy słyszała podobne teksty. „Porozmawiajmy”, „Poznajmy się”, a w rzeczywistości chodziło tylko o jedno. O seks. Miała tego serdecznie dość. Kamieniarz jeszcze nie zdążył postawić porządnego pomnika na grobie Adama, a już ustawiała się do niej kolejka absztyfikantów. *O tempora, o mores.*

Początkowo nawet ją to bawiło, później irytowało, a teraz? Minęły prawie cztery lata, więc wszystkie tego typu zaloty zbywała śmiechem. Czasami miała nawet ochotę rzucić kąśliwym: „Sorry, nie poruchasz”.

Tylko ten Piotr jakoś nie wpisywał się w znany Annie schemat. W wiadomy sobie sposób przeczuwała, że tym razem będzie inaczej. Że tym razem JEST inaczej. Ale bała się tej zmiany.

— Dziś czułe słówka, a jutro zapomnisz o moim istnieniu.

— Skoro masz takie uczulenie na gadanie, to możemy spróbować komunikować się inaczej. — Piotr czuł, że to jedyna szansa, aby zatrzymać Annę. Jeżeli tego nie zrobi, kobieta za chwilę wyjdzie. I zapewne już nie wróci.

Zdecydowanym ruchem objął Annę w pasie i przygarnął do siebie. Jednocześnie nieśmiało dotknął ustami jej warg. Anna jakby instynktownie przyłgnęła do torsu mężczyzny, oddając mu

pocałunek. W głowie wirowała jej tylko jedna myśl: „Pozwól sobie na zaufanie...”.

KAROLINA ŁUCJA KOZIOŁ

Z urodzenia ślązaczka, z zawodu psycholożka,
z charakteru zołza, z zamiłowania „artystka” szukająca
własnej drogi.

DZIEŃ 7

Ostatni wagon przeleciał z hukiem. Wybiegliśmy na tory.

— Szukaj, Kazik! Tam! Tam jest! — krzyczał Staszek.

— W lewo! W lewo! Szybko! — darł się Wituś, przebierając nogami z niecierpliwości. Kazik schylił się i długą chwilę wygrzebywał ten nasz skarb spośród kamieni.

— Masz go?! Pokazuj! — Podbiegłem i szarpnąłem Kazika za rękaw. Usłyszałem brzęk, a potem stukot. Kazik, Stasiek i Wituś spojrzeli na mnie wrogim wzrokiem.

— I co żeś narobił, patałachu?! Szukaj go teraz! — Kazik miał łzy w oczach.

— Masz minutę. Ruchy! Ruchy! — komenderował Staszek.

— Złaź szybko i szukaj — Witek szturchnął mnie w ramię. Przestraszyłem się, że naprawdę chce mi przywalić. Potknąłem się o tory i sturlałem z nasypu prosto w pokrzywy. Chłopaki miały ubaw. Rechotały jak żaby w maju. Mnie, tam na dole, nie było do śmiechu. Piekło jak cholera. Wszędzie bąble, nawet na tyłku. Jak mnie matka zobaczy, to jeszcze pasem dołoży tak, że przez trzy dni nie usiądę.

— Jezu, ale piecze, nie wytrzymam... Chłopaki, pomóżcie!

Kazik podał mi rękę i podciągnął do góry. Wszyscy podziwiali

moje bąble i co chwilę wybuchali śmiechem.

— Ty, to podobno na reumatyzm dobre — stwierdził Wituś i zanosząc się śmiechem, sturlał się z nasypu prosto w pokrzywy. A za nim Kazik i Stasiek. Teraz wszyscy wyglądaliśmy tak, jakby stado pszczoł nas pokąsało. Myśleliśmy tylko o tym, jak niezauważenie wrócić do domu. I nikt nie pamiętał o zagubionej monecie z rybakiem.

DZIEŃ 12

Stopa sprawdza, czy ranek ciepły
Oko otwarte. Prawe.
Lewe pojedynczo nie działa. Więc prawe
Bok nie ten i oko ślepe. Więc oba
Jednak ranek
Prawa śpi jeszcze
Lewa jak zwykle gotowa
Stanąć jako pierwsza
A gdyby tak od razu na równe?
Kawa sama się nie robi
A sama się wyleje
I koszula na lewą
Za to spodnie w paski
Na „19” za wcześnie
Na „6” zbyt późno
Schodami w dół
Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa...
Ciągnąć
Pchać
Dzień dobry, w czym mogę pomóc?
W przedostaniu się na drugą stronę.

DZIEŃ 20

— Zamilcz kobieto! — syknął.

— A niby dlaczego mam milczeć? Co to, już mi nic powiedzieć nie wolno? — oburzyła się. — A właśnie, że będę mówić! Wszystko powiem!

— Zamilcz natychmiast! — powiedział tym razem głośno i stanowczo. Złapał ją za ramię i wyprowadził z sali. Zabolało.

— Aua! To boli! Puszczaj mnie zaraz! Kim ty, do licha, jesteś?! — Próbowwała wyrwać się z uścisku. Bezskutecznie.

Kiedy opuścili budynek, poczuła jego silne palce nie tylko na swoim ramieniu, lecz także na ustach. „Jezu, chyba nie chce mnie zamordować?!” — pomyślała. Mówić chwilowo nie mogła. Próbowwała kopnąć go w gołe nogi i jakoś się oswobodzić. Nic z tego. Trzymał ją zdecydowanie i mocno. Przycisnął do muru i spojrzał w oczy tak przenikliwie, że właściwie nabrała pewności, że to jej ostatnia chwila i naprawdę nikomu już nigdy nie będzie mogła niczego powiedzieć. I kiedy żegnała się w myślach z tym nie najlepszym ze światów, aczkolwiek jedynym, jaki знаła, usłyszała jego zmysłowy szept:

— Nic ci nie zrobię. Puszczę cię, ale obiecaj, że nie powiesz ani słowa. Milcz. Milcz, dopóki nie dojdziemy do tamtej budki telefonicznej. Widzisz ją? Wejdziemy do środka i wtedy wszystko ci wytłumaczę. Tylko milcz, proszę. — Poluzował chwyt, uwolnił jej usta i przygwoździł ją wzrokiem tak, że mimo ogromnej ochoty na to, żeby mu wygarnąć, co o nim myśli, posłusznie i w milczeniu przeszła tych kilka kroków.

Szarmancko otworzył przed nią drzwi i już nie tak szarmancko wepchnął ją do środka. Ograniczona przestrzeń budki telefonicznej wymuszała prawie intymny kontakt. I ten jego wzrok...

— Jesteś mi winna 39 milionów.

— Niby za co?

— Udajesz zaskoczoną czy naprawdę jesteś idiotką? Teraz wisisz mi już 50.

Poczuła, że mówi poważnie. Śmiertelnie poważnie! „Na litość boską — pomyślała — jakim cudem jestem mu winna tyle forsy? I dlaczego ten dług tak szybko rośnie? Nic z tego nie rozumiem. Nie mam takich pieniędzy! Nikt nie ma takich pieniędzy.

No dobra, nikt, kogo znam, nie ma takich pieniędzy. Jeśli liczy na to, że wykonam teraz telefon do przyjaciela, a ten pojawi się z walizką forsy, to się przeliczył. Nie wykonam. Nie mam żadnego przyjaciela. Gdybym miała chociaż jednego, nigdy nie porzuciłabym swojego życia i nie przyjechałabym tutaj. Niepotrzebnie dałam się namówić tej kobiecie. „Letnie warsztaty pracy twórczej. Jak zarabiać kokosy na pisaniu” i takie tam. No, to teraz mam kokosy. Zginę w tej ciasnej budce!”

— Fuck! — usłyszała. — Ty naprawdę nie wiesz! To jestem w czarnej dupie! I nie chcę cię martwić, ale ty też w niej jesteś. Nic tu po mnie — dodał i wyszedł. Tak po prostu wyszedł i ją zostawił.

— Ej, ty! — krzyknęła i wybiegła za nim.

Zatrzymał się. Sięgnął za pazuchę płaszcza.

„O matko! — pomyślała w panice. — Wyciągnie broń i mnie zastrzeli!”

Zatrzymała się i podniosła ręce do góry. Spojrzał na nią z rozbawieniem i odrobiną litości. Rzucił coś w jej kierunku, odwrócił się na pięcie i poszedł sobie.

Mały czarny notes upadł tuż obok jej lewej stopy. Podniosła go. Zwykły notes. Dlaczego jej to dał? Otworzyła. Na pierwszej ktoś zapisał numer telefonu.

— No nie, chyba nie myśli, że po tym wszystkim do niego zadzwonię. I co, może jeszcze mam umówić się z nim na kolację?! — fuknęła zniesmaczona i patrzyła na numer. — Długi jakiś. Wygląda raczej na bezpłatną infolinię. A, co mi tam! — postanowiła. Wróciła do budki i wystukała 0 800...

— Dodzwoniłeś się do Biura Słów Zagubionych. Jeśli szukasz odpowiedniego słowa, wciśnij 1. Jeśli chcesz oddać swoje słowa, wciśnij 2. Jeśli rzuciłeś słowa na wiatr, wciśnij 3. Jeśli paplałeś, co ci ślina na język przyniosła, wciśnij 4. Jeśli brakuje ci słów, wciśnij 5. Jeśli powiedziałeś o jedno słowo za dużo, wciśnij 6. Jeśli jesteś poetą, wciśnij 7. Jeśli jesteś pisarzem, wciśnij 8. Jeśli właśnie szpetnie zakłąłeś, wciśnij 9. Jeśli nie wiesz, co robić, wciśnij 0 lub poczekaj na zgłoszenie się konsultanta.

— Przepraszamy, chwilowo wszyscy nasi konsultanci są zajęci. Proszę, czekaj... Proszę, czekaj.

AGNIESZKA KRAWCZYK

Poetka od zawsze, blogerka od czasu gdy została Matką-Polką (bo dzieci są źródłem mnóstwa fajnych i nietuzinkowych pomysłów na teksty), sporadyczna autorka krótkich form. Marzycielka, entuzjastka sztuki pod każdą postacią, miłośniczka kotów i smoków, dobrej kuchni, literatury i filmu, a na co dzień zwyczajny trybik w korporacji.

DZIEŃ 2

Wędrowała już tak długo, że prawie nie czuła nóg. Do następnego miejsca noclegowego miała jeszcze kilka kilometrów, a tu jak na złość zbierało się na deszcz. I to nie było jakiś drobny, letni deszczyk, o nie. Gdzieś w oddali pomrukiwała całkiem dorodna burza.

„Świetnie — pomyślała. — Jeszcze tylko tego mi brakuje, żebym robiła za miss mokrego podkoszulka, spodni, butów... i bielizny!

Przyspieszyła kroku, chociaż wcześniej wydawało jej się, że nie zdoła iść szybciej. Była naprawdę zmęczona, przypuszczała więc, że raczej zacznie zwalniać stopniowo do tempa żółwia. A tu proszę — nie ma to jak dobra motywacja.

Nagle zobaczyła przed sobą zieloną bramę. To skojarzenie nasunęło jej się od razu, gdy spojrzała na majaczące w oddali dwa drzewa. Stały po obu stronach drogi, naprzeciwko siebie, i łączyły się swoimi zielonymi czuprynami tak dokładnie, że stapały

się w jedną, niepodzielną masę gałęzi i liści, tworząc zielony łuk. „Jak brama do innego świata” — przemknęło jej przez myśl.

Podeszła bliżej. Wydawało jej się, że z każdym krokiem powietrze nad drogą, ocienioną koronami drzew, coraz silniej faluje. Nic dziwnego, przecież było gorąco. A jednak gdy rozejrzała się po okolicznych polach, stwierdziła, że to nie to samo. Nad wysuszoną ziemią dostrzegała zaledwie nieśmiałe drzenie. Falowanie bramy było jakieś inne. „Jak morze całowane lekką bryzą — przemknęła jej przez głowę niespodziewana myśl. — Zaczynam wariować ze zmęczenia. Jakies poezje mi się roją — zakpiła z samej siebie i szła dalej.

No bo co mogło się stać? Musi minąć te drzewa, żeby nie zastała jej burza pod nimi — nie bardzo chciała sprawdzać, czy pioruny faktycznie uderzają zawsze w najwyższy punkt w okolicy. A najwyższym punktem, jak okiem sięgnąć, była ta dziwna zielona brama.

Kiedy mijała potężne pnie, już na sto procent wiedziała, że coś jest nie tak. Ale nie cofnęła się. Coś pchało ją delikatnie naprzód. Jeszcze krok.

— Jakbym zanurzała się w kisielu — mruknęła do siebie z uśmiechem. Nie wiedziała, dlaczego tak ją to rozbawiło, zamiast przestraszyć. Kolejny krok i... stanęła jak wryta. Znała to niebo, tę trawę, gęstą i miękką, w kolorze głębokiego modraku. Jej ulubiony kolor. Już tu była. Nie raz i nie dwa. Zawsze we śnie. Czasem, gdy się zamyśliła, kątem oka na moment dostrzegała w realnym świecie fiolet tamtego nieba, zdarzało się to jednak bardzo rzadko. Nigdy nie przypuszczała, że to miejsce istnieje naprawdę.

— A może zemdlałam ze zmęczenia? Przynajmniej leżąc na drodze, nie mam szans stać się piorunochronem. Tylko czy wtedy uszczypnięcie się w dłoń też boli?

Nadal nie wierzyła. Szukała racjonalnego wyjaśnienia tej tak abstrakcyjnej sytuacji. Niepokój, który czuła, nie miał jednak nic wspólnego z paniką. Raczej, uświadomiła to sobie po chwili, bała się, że to znowu tylko sen.

— Cześć — usłyszała za plecami. — Dobrze, że jesteś. Myślałem, że już nie przyjdiesz.

Odwróciła się. Czuła, jak jej serce przyspiesza do szaleńczego galopu.

— Za dużo wrażeń na raz — zdołała pomyśleć, zanim zemdlała naprawdę.

DZIEŃ 6

Niferet stała w gęstniejącym mroku. Patrzyła z niepokojem na gasnące powoli światło dnia. Gdzieś daleko na horyzoncie umierało kalekie słońce, przypominające ser nadgryziony przez myszy. W ciągu dnia nie dawało już tyle ciepła, co w czasach przed Wybuchem, o których kiedyś czytała. Ale zimno nie było tak straszne jak zbliżające się nieuchronnie lepka i gęsta ciemność. Gdyby tylko miała kocie implanty, takie jak Matheo...! Dziś nikt już takich nie robi. Wszystko, co dobre i pomocne, pochodziło z przeszłości i umierało razem ze słońcem. Dzień po dniu.

— Rusz tyłek, inaczej staniesz się czymś obiadem, a w zasadzie kolacją — mruknęła do siebie i uśmiechnęła się krzywo.

Była twarda, to fakt, w przeciwnym razie nie dożyłaby swoich czterdziestych urodzin i nie wyznaczono by jej do odbycia samotnego patrolu. Ale nie dość twarda, żeby nie bać się tego, co czaiło się w zakamarkach ulic po zapadnięciu zmroku. Może to i dobrze. Zbytńia pewność siebie osłabia czujność, a to można przypłacić życiem. Poza tym Niferet jeszcze na tyle nie poznała miasta, jego ulic, placów i zaułków, żeby w przypadku ucieczki bezbłędnie wybrać trasę lub natychmiast znaleźć kryjówkę. A w przypadku spotkania ze Stworami — i to niekoniecznie tymi największymi — liczyła się każda sekunda. Jakiegokolwiek zawahanie groziło śmiercią.

Niferet żyła w mieście od niedawna i naprawdę dobrze, czyli do ostatniego kamienia, zdołała poznać jedynie drogę między celą, w której ją zakwaterowano, a zbrojownią — trasą liczyła zaledwie kilkadziesiąt kroków. Resztę okolicy poznawała stop-

niowo i niezwykle ostrożnie początkowo z grupą uzbrojonych po zęby osiłków, jej towarzyszami broni. Uśmiechnęła się na myśl o chłopakach i o tym, jak w pierwszych dniach udowodniła im „przypadkiem”, że baba też potrafi być twarda, szybka i śmiertelnie zabójcza. Dziś szanowali ją jak każdego innego najemnika, zatrudnionego do obrony ocalałej garstki cywilów, i ufali na tyle, że czasem, gdy było to konieczne, kierowali samą na patrol.

Taka konieczność właśnie się pojawiła. Nieopodal obozu jakiś dzieciak znalazł potwornie zmasakrowane szczątki. Trudno było nawet zgadnąć, jaka istota zginęła tak okropną śmiercią. Śmierć nastąpiła cicho, nikt niczego nie słyszał. Noc przebiegła spokojnie, a w południe, dwa kwartały od ich bazy, roje tłustych much już krążyły nad świeżuteńkim, jeszcze ciepłym truchłem. To oznaczało wyjątkowo paskudną odmianę Stwora. Może nawet nową, nieznaną dotąd mutację. Oczywiście zaostorzono przepisy dotyczące oddalania się od obozu nawet w ciągu dnia, ale trzeba było wytropić i zabić bezczelnego mutantą, zanim zginie któryś z mieszkańców osady.

Niferet wciągnęła głęboko chłodne, nocne powietrze. Odbezpieczyła broń i ruszyła powoli na obchód. Przed sobą miała płataninę ulic i ciemny maszyn kwartałów miasta. Miała nadzieję, że jeśli natknie się na Stwora, zdoła go zaskoczyć i ukatrupić, zanim będzie miała okazję obejrzeć z bliska garnitur jego niewątpliwie ostrych zębów, bo wtedy nawet szybkostrzelny karabin może okazać się zbyt słaby, żeby ocalić jej życie.

DZIEŃ 15

Osiłek stał spokojnie i czekał. Kolejny dzień pracy nie zapowiadał żadnych niespodzianek. Powoli, metodycznie przeżuwał świeże żdźbło trawy i zastanawiał się, co też tym razem przyjdzie mu nieść na grzbiecie i jak daleką drogę będzie musiał pokonać. Lubił zgadywać trasę i ciężar pakunków. Mizerna to była rozrywka, ale zawsze rozrywka.

Ludzie się spóźniali. Osiłek nawet się z tego cieszył — miał

więcej czasu na relaks i leniwe kontemplowanie krajobrazu. Przecież prędzej czy później i tak przyjdą.

Zastrzygł czujnie uszami, wychwytyjąc strzępki rozmów. No proszę, już idą. Widocznie dzisiejsza wyprawa nie będzie długa, skoro się nie spieszą. Skupił się na dźwiękach, próbując ustalić, ilu ich jest. Wydało mu się, że wychwycił pięć, może sześć głosów. Sporo. Nie szkodzi. Ludzie nie lubili się przemęczać, więc nawet gdyby było ich więcej, i tak nie przyniosą ze sobą tylu pakunków, żeby nie zdołał ich unieść.

Kiedy się zbliżyli, nawet nie odwrócił głowy. Jeden z tragarzy poklepał go po karku.

— No, zobaczymy, jak dziś sobie poradzisz — usłyszał. Nie wiadomo dlaczego poczuł lekki niepokój.

Zdarzało się, że ludzie wypowiadali dziwniejsze zdania w jego kierunku, więc nie przejął się tym za bardzo.

Pierwszy pakunek był dość ciężki, ale miękki. Dobrze, nie będzie uwierał w grzbiet. To oznaczało, że tragarze byli rozsądni i dbali o wygodę zwierzęcia.

„Dziś nie powinno być ciężko — zdążył pomyśleć, zanim stęknął pod ciężarem kolejnej paczki, którą ktoś przytroczył grubym sznurem i opasał jego brzuch. — Chyba trochę przesadzają — westchnął po chwili, ale dalej stał spokojnie.

Dołożono jeszcze trzy mniejsze kuferki. Nie były ciężkie, ale cholernie niewygodne. Róg jednego z nich dość boleśnie wbijał mu się w zad. Ktoś podszedł i poprawił mocowanie, podłożył derkę. Uff! Niewygodnie byłoby zaszuwać całą drogę z kantem kufru wpijającym się w tyłek.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, osiołek uznał więc, że koniec załadunku. Wówczas ostatni z tragarzy wrzucił mu na grzbiet... Co to było? Słoń? Nogi ugięły się pod nim. Ci ludzie chyba sobie żartują! Osioł to silne zwierzę i każdy o tym wie, ale ma swoje ograniczenia! Ten pakunek waży chyba z tonę!

Tragarze, śmiejąc się z jakiegoś dowcipu, nie zauważyli reakcji zwierzęcia. Co więcej, jeden z nich klepnął go zachęcająco w zad, żeby skłonić do ruszenia z miejsca. Tego było za wiele.

Cierpliwy do tej pory osiołek zaczął wierzgać na tyle, na ile pozwalał mu ciężar na grzbiecie, starając się zrzucić wszystko na ziemię. Na szczęście tragarze przymocowali pakunki dość nie-
dbale i po chwili całość wylądowała na trawie. Uwolniony od przytłaczającego ciężaru, obrócił łeb w kierunku swych ciemięży-
cieli i głosem jak najbardziej ludzkim stwierdził:

— Pocałujcie mnie wszyscy w dupę. Sami sobie targajcie takie ciężary. Ja idę na spacer.

Po czym zadął bezwstydnie ogon w górę i pomaszerował z godnością w kierunku najbliższej łąki.

Nikt się nie odezwał.

BEZPŁATNE PORADNIKI PISARSKIE

„Mini poradnik kreatywnego pisania”, „Jak spełnić pisarskie marzenia? Wybór artykułów” trafią do Ciebie, gdy zapiszesz się na mój newsletter. Subskrybentów będę dodatkowo na bieżąco informować o nowościach na stronie, terminach webinarów oraz kursów.

Zapisz się:

List z inspiracją (klik)¹

BLOG O PISANIU

Porady pisarskie.

Wskazówki — jak wydać i wypromować książkę.

Jak pisać teksty zawodowe?

Wejdź na stronę:

www.PiszeBoChce.pl²

¹ <http://piszebochce.pl/list-z-inspiracja/>

² <http://piszebochce.pl/blog/>



LICENCJA

Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów
zależnych 3.0 Polska